

Bronisław Bartel. Śnieg w słońcu.

Wieś i Dwór

LUTY 1914. CENA 60 KOP. ZESZYT IV.

ROK III. WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1914 ROKU. ZESZYT IV.

Wieś i Dwór

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.



Henryk Uziembło. Sal. Richlinga Pan młody.

BEZ KARCZMY!

Hej tam w karczmie za stołem,
Siedział sobie Jan stary —
Otoczyli go kołem —
On tak prawił do wiary!

Tak, zdawało się, że w karczmie przekazywano wnukom przy miodu szklanicy tradycje ojców drogocenne — częściej jednak tam przebrzmiała pijacka śpiewka i...

„Łupu cupu —

Po kożuchu“ kończyła wesoła kompania. Na drugi dzień pejsaty arendarz wymiatał do chlewa, gdzie przebywała jego koza, gęste kudły chłopskie, powydzierane sobie wzajemnie przez wczorajszych gości.

W każdej nieomal też wiosce choć niewielka stała wtedy gorzelnia, a karczmę budowano na każdym rozstaju — tak że czasem i po kilka ich było w jednem co większem dominium!

...Ale przyszli misjonarze, przysłani by odwodzić lud od pijaństwa i wymownemi kazaniami i groźbą mąk wieczystych zaczęli nawracać go do trzeźwości i wyrzekania się wódki; pod wpływem tych też pierwszych abstynentów zaczęto „wyprzysięgać się“ gorzałki.



W tan wesoły!..

Sam już pamiętam to dobrze, jak mając może ze cztery lata, podnosiłem rączkę do góry, razem z całą chłopską gromadą, która wtedy w kościele w Bielsku przysięgała, że „wódki“ pić nie będzie więcej.

To też potem niektórzy z nich tylko „harak“ pili — a herbata z arakiem gęsto odchodziła po jarmarkach.

Największą jednak przyczyną abstynencji było podniesienie akcyzy na spirytus, co wywołało ogólny upadek gorzelni i skasowanie większości karczem po wsiach, oraz wysiedlenie arendarzy i karczmarzy, poczem też nastąpiło i podniesienie się dobrobytu, zdrowotności i etyki po wiejskich chatach.

Bo choć tam gdzieś jeszcze bliżej granicy szwarcowano czasami pruską tańszą bismarkówkę, nie zastąpiła ona jednak dawniejszej, zabezcen sprzedawanej „siwuchy“, którą dwór każdy u siebie produkował, a kmiotkowie bez miary konsumowali na miejscu.

Z czasem jednak władza skarbowa, motywując to potrzebą oczyszczania ze szkodliwych dla zdrowia „fuzli“ produkowaną dotąd gorzałkę, zmonopolizowała jej rektyfikację.

Lud tedy, zasmakowawszy w tej urzędowej „marce“, wziął się bardzo ochoczo do otwierania banderolowanych „mierzawczyków“, i znów pod tem nowem prawem zaczęła się zwiększona konsumcja alkoholu, powiększając bezustannie cyfrę „pijanego budżetu“.

Aliści, znów występują na arenę kontynuatorzy propagandy antialkoholicznej, podjętej ongi przez klerykalne sfery, ale działający już nie pod hasłem zwalczania wiekuistego lecz doczesnego zatracenia, do którego dąży pijak, pociągając w przepaść moralnego, ekonomicznego i fizycznego upadku nietylko siebie i najbliższą swą rodzinę, lecz nawet przenosząc przekleństwo zwyrodnień alkoholicznych także w następne pokolenia.

Czytają więc tedy ludzie utwory Zoli, wstrząsają się na widok potworności patologicznych, demonstrowanych na wystawach antialkoholicznych, wreszcie humorystyka, nawet teatry, kinematografy i inne pokazy dostatecznie obrzydzają nam ciągle przeklęte skutki pijaństwa! Publicystyka głosi nieustannie przeciw niemu anatemę.

Przez cały też czas trwania trzeciej Dumy Państwowej nadwołżański poseł Czełyszew, niby drugi Katon w rzymskim senacie, codziennie przy każdej sposobności wołał: „Skasujcie monopol“!

Na ostatnim zaś kongresie ochrony dzieci w Brukselli głos międzynarodowych delegatów potępił urzędową sprzedaż wyskoku.

Więc też obecnie znów następuje — zaćmienie gorzałki. I minister finansów, nie czekając aż wejdzie w prawo odnośna uchwała Dumy, wydał w dniu 25 sierpnia r. z. cyrkularz za № 2255 — na mocy którego każda gmina żądać może zamknięcia

sklepów monopolowych i prywatnych zakładów z wódką, położonych w jej obrębie.

W takim też razie władze akcyzowe obowięzane są zamknąć monopol w przeciągu dwóch miesięcy a handle prywatne po upływie terminu wydanego świadectwa.

Uchwały takie nastąpiły już w wielu miejscowościach i pożądane jest bardzo, aby inteligencja wiejska starała się o pomnożenie ich liczby i prędkie wprowadzenie w czyn — wobec częstokroć małego zainteresowania się tą kwestją przez niższe administracyjne władze miejscowe.

. . . .



Karczma przy drodze.

Lecz czy na zamknięciu karczem wiejskich, choć poprawi się wtedy moralny i hygieniczny stan ludności włościańskiej, nie ucierpią jednak ekonomiczne interesy kraju wobec mniejszego zbytu gorzałki? czy nie zniknie też ten urok sielankowy, jaki podniecony nastrój karczemny wywoływał w podchmielonym parobczaku, chłop bowiem, schylony tydzień cały nad pługiem, choć raz jeden w niedzielę, wychyliwszy „trunek na frasunek", śpiewał wesoło, przytupując przed szynkwasem:

„Podkóweczki dajcie ognia,
Bo Maryśka tego godna"!

Czy nie zamilkną więc też i wesołe skrzypki karczemne wraz z wyschnięciem „prazdroju" monopolki. Gorzałka to przecie podnieca taraz zarówno grajków jak i tancerzy — po jej zaś skasowaniu zalegnie we wsi polskiej cmentarna cisza. Baby śpiewać będą jeno na ruinach karczmiska, jak na pogrzebie legendowego „Maćka"—Dolo moja dolo:

„Oj, któż nam tu zaśpiewa,
Oj, któż nam kupi piwa"!

a gromada cała obchodzić będzie niedzielę niby jaka zreformowana kwakierska kolonja, czytając jeno aby „Zorzę" i „Przewodnika kółek i spółek włościańskich". Wesołość młodzieńcza i śpiewki sielankowe przeniosą się gdzieś do miejskiego środowiska, a piosnki, koncepty i tańce ludowe słyszeć będziemy jedynie w lichej trawestacji — „robione" gdzieś w tanim kabarecie.

Zniknie też wtedy, mówią nam, i ostatnie publiczne ognisko, przy którem chłop „na swoich czuł się śmieciach", — gdzie więc też dawniej „Jan stary" mógł młodym powieść o „Bartoszu Głowackim" ględzić, gdzie też i urlopnik dzieje ostatniej opowiadał wojny i gdzie „notable" gminni kierunek spraw publicznych omawiali.

* * *

Ale próżne są te za minionemi już formami produkcji i życia gromadzkiego żale.

Najpierw więc przemysł gorzelniczy niewiele odczuje już obecnie upadek karczem miejscowych, bo długie jeszcze lata alkohol będzie miał zapewniony zbyt na wschód i na zachód, choćby dla innych przemysłowych celów. Zresztą ziemniaki obecnie również i w formie syropu, krochmalu i płatków suszonych znajdą zawsze odbiorców w kraju.

Co zaś do towarzyskich i społecznych potrzeb wsi naszej, to obecną karczmę wiejską daleko wygodniej, estetyczniej i oszczędniej zastępować będą teraz coraz to gęściej powstające domy ludowe. Potrzebę zaś ich budowy właśnie też, po zwinięciu szynków i zajazdów coraz to więcej odczuwać będzie wieś nasza, tembardziej, że pod ich wspólnym dachem pomieścić się powinien nietylko wiejski sklep współdzielczy, kółko rolnicze, kasa pożyczkowa itd.— ale i szkoła z dużą salą, gdzie w czasie świątecznym nietylko pogadanka popularna ale i przedstawienie amatorskie oraz zabawa taneczna odbyć się z powodzeniem może.

Tam wszak oprócz czytelni kinematograf i gramofon zapewne się znajdzie, a przytem zawsze ktoś na skrzypcach, harmonji zagrać potrafi, więc



Jezioro.

czysta krynica śpiewności ludu naszego, bo prawdziwe jej źródło nie ze sztucznego podniecenia tryska jeno od tych zórz gorejących idzie, od tego poszumu leśnego się rodzi i z tej tęsknoty do szerokich pól płynie, z której owczareczek, co jeno wodę źródlaną pije, na swej fujarce się roztkliwia, — a kraśna żniwiarka, co „zawdy się kieliszka sroma", tęskną swą piosnkę o „Jasiu wojaku" zawodzi.

Nie podsłuchiwał też przecie nieśmiertelny Fryderyk Chopin swych iście ludowych choć wyidealiwanych motywów gdzieś

też i śpiewka popłynie i podkóweczki hukną wesoło, choć nie podsycone wyskokową trucizną.

Młodość jest bowiem zawsze jak skowronek w polu, o zmroku i o świcie trele wywodzić zwykły — a wesołość u dzieci i ludu naturalnym jest zdrowia objawem. Nie wyschnie więc wraz z monopolem wie-

po karczmach przydrożnych, choć od nich się wtedy na Mazowszu roiło, — ani też nie brał Moniuszko od pijanych kompanji tematu do swoich przepięknych Jontka zawodzeń, bo nieskażony duch poezji i melodji ludowej w trzeźwej jeno a nie pijackiej przejawia się zawsze pieśni. *Agricola.*

DWIE ANTOLOGJE.

POLSKA PIEŚŃ MIŁOSNA — ZIEMIA POLSKA W PIEŚNI.

Każde społeczeństwo, dbałe o zachowanie i utrwalenie swej odrębności rasowej, gromadzi skrzętnie znaki widome twórczości narodowej we wszelkich dziedzinach, nietylko by zachować od zagłady najcenniejszy dorobek zeszłych ze świata pokoleń, lecz by, mając przed oczyma realne dowody, jak duch narodu w ubiegłych epokach się przejawiał, snadniej śledzić i kontrolować przejawy jego współczesne.

Temu ważnemu celowi służą muzea, galerje obrazów, bibljoteki i wszelkie zbiory dokumentów przeszłości. Nietylko przeszłości. Gromadzenie dóbr duchowych narodu winno odbywać się współrzędnie z pojawianiem się czegokolwiek, co do skarbnicy kultury danego narodu z racji swej wartości z chwilą ukazania się



JAN LORENTOWICZ.

już należy. Ocali to niejedno dzieło twórczości od zagłady lub zapomnienia w przyszłości, ułatwi następnym pokoleniom korzystanie z dorobku ojców i pomoże utrzymać w ładzie ogniwa kultury narodowej.

Praca w tym kierunku, bujnie rozwinięta dziś we wszystkich społeczeństwach, dla naszego jest szczególnie ważnym obowiązkiem; zbyteczne chyba tłumaczyć, dlaczego dla nas uświadomienie sobie tego obowiązku stanowi jedną z podwalin bytu naszego, jako narodu.

Słuszność przyznać każe, że w ostatnich czasach rośnie ta świadomość w oświeconych warstwach, a wraz z nią mnożą się i potęgują wysiłki jednostek ku odrobieniu choć w części zaległej pracy, co w naszych warunkach,



Dwór w Działyniu.



Rembiocha. Mostek w lesie.



Droga w zimie.



Na paśnik.



Las na Rembiosze.
(Powyższe am. fotografje z ziemi płockiej wyk. p. L. Ciechomski).

gdy nam tyle zrabowano lub zniszczono z dokumentów kultury narodowej, nie jest rzeczą łatwą.

Do niedawna jeszcze przy największym nawet wysiłku pracy i dobrej woli nie mogliśmy gromadzić dobytku piśmiennictwa ojczystego, w którem duch polski najdobitniej żywotność swą przechowywał i przekazywał, w sposób, godnie i w możliwym całokształcie przedstawiający różne gatunki kwiatów, w ogrodach literatury naszej kwitnących.

Mówię tu o antologjach poetyckich, popularnej formie uzmysłowienia ogółowi tej lub owej dziedziny poezji rodzimej.

Nietylko przeszkody natury zewnętrznej sprawiły, że o dobrą antologję było u nas trudno. Sami sobie przysparzaliśmy więzów: pruderja, niedość subtelna wrażliwość na piękno układaczy tych zbiorów, powierzanych nieraz ludziom o umysłowości bakałarzy, fałszywe lub mętne pojmowanie obowiązków kierownika smaku czytelników, klątwa naszej kultury estety-



Majewski. Z kwiatami.



Majewski. Dama w szalu.

cznej — dydaktyzm społeczny w sprawach sztuki, oto zwykłe wady większości dotychczasowych zarówno antologistów jak i wydawców dzieł któregoz filarów naszego piśmiennictwa. Niebawem ukażą się w bibljotece „Muzy" wszystkie dzieła Jana z Czarnolasu; gdy je porównamy z Kochanowskim, „obcinanym" zajadle przez Bohomolca i jego naśladowców w całym szeregu wydań do ostatnich czasów, zdumienie nas ogarnie, ile w zakrystjańskiej gorliwości z *prawdziwego* Kochanowskiego usunięto: zjawisko, nie spotykane u narodów dojrzałych. Edycję tę przygotowuje redaktor „Muz", Jan Lorentowicz. Zanim ukazanie się jej w handlu upoważni nas do omówienia tego ze wszech miar pożądanego nabytku w naszej literaturze klasycznej, zwracamy uwagę czytelników na dwie prace naszego wybitnego krytyka, jakie w ostatnich czasach wypełniły chlubnie lukę w dziale antologji poezji polskiej. Noszą one tytuły, treść zebraną syntetycznie charakteryzujące: „Polska pieśń miłosna" i „Ziemia polska w pieśni" *).

Obydwa zbiory posiadają cechy wydawnictw nieprzemijającej wartości: bogactwo zebranego materjału, smak i znawstwo w wyborze i układzie, doprowadzenie w obydwóch książkach wyboru do ostatnich czasów, skrupulatne skorowidze, daty urodzin i śmierci każdego autora po za rozkoszą odświeżenia sobie w pamięci arcydzieł i utworów wartościowych znanych i znalezieniem wielu, oczytanemu nawet czytelnikowi nieznanych, pozwalają orjentować się w ewolucji pieśni polskiej, miłości i ziemi ojczystej poświęconej, dzięki umiejętnie skreślonym wstępom autora. W obydwóch przedstawia zwięźle Lorentowicz dzieje polskiej poezji erotycznej i ziemię opiewającej na tle pokrewnej poezji obcej i wydobywa trafnie rdzenne cechy charakteru pieśni, przez tylu poetów u nas wyśpiewanych.

W „Pieśni miłosnej" nie pominął autor antologji i erotyków ludowych, jako odwiecznej krynicy uczuć prostych, bezpośrednich, które u niejednego ze współczesnych mistrzów formy kunsztowne odbicie swe znajdują, ile że gama uczuć miłosnych od swych tonów zasadniczych rzadko odstępuje w duszach najbardziej nawet wyrafinowanych. O różnicy stanowi forma, odlew indywidualnego odczucia stanów uczuciowych — i prób bogactwa tej formy mamy w antologji przeobfity zbiór. Autor uwzględnił bowiem w swej książce wszystkich wybitniejszych piewców miłosnych, dawnych i współczesnych i jeśli,

[1]) *Polska pieśń miłosna.* Antologja. Wybrał i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz. Z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich. *Ziemia polska w pieśni.* Ułożył i wstępem opatrzył Jan Lorentowicz. Z 12 reprodukcjami obrazów artystów polskich. Nakład Gebethnera i Wolffa.

szperając w pamięci, znajdziemy jaki cenny erotyk, któregobyśmy napróżno w antologji szukali, nie miejmy o to pretensji do autora, który z całym nakładem kompetencji, sumienności i dobrej woli dzieło swe przygotował: w ogromie materjału i przeoczenie jest możliwe i nie zapominajmy, że na każdej książce odbić się musi indywidualność autora, choćby to była selekcja gotowego materjału; smak i upodobania własne muszą kierować wyborem, *podpisanym* własnem nazwiskiem.

O chwalebnej trosce Lorentowicza, by nie pominąć nikogo, komu według jego literackiego sumienia miejsce się w antologii należy, świadczy dopisek we wstępie do „Ziemi polskiej w pieśni", iż ze względów wydawniczych usunięto z tej książki około 6000 wierszy tekstu, do druku zakwalifikowanego. Wydawca nie chciał przeciążać tomu, który i tak liczy z górą 500 stron.

Autor, zamiast porządku chronologicznego, stosowanego w „Pieśni miłosnej", podzielił utwory w swej drugiej antologji na serje, podług treści. Mamy więc grupy: „Ziemio moja", „Rok polski" (Wiosna — Lato — Jesień — Zima), „W górach" (Tatry — Pieniny — Ojców, Pieskowa Skała — Góry Ś-to Krzyskie — Góra Św. Bronisławy — Czarna góra — Kraśna góra), „W szumie drzew" (Lasy — Drzewa polskie), „Nad wodami" (Baltyk — Jeziora — Rzeki — Stawy), „Grody i ruiny", „Parki i Ogrody", wreszcie „Mogiły".

Wszystkie więc uroki ziemi naszej, radosne i smętne, w tak wyczerpującym zbiorze wyraz swój poetycki znalazły, i za tę pracę zgromadzenia umiejętną ręką źródeł drogich sercu każdego Polaka wzruszeń szczera wdzięczność od nas autorowi się należy.

Ubarwia i uplastycznia te wrażenia szereg pięknie w światłodruku wykonanych reprodukcji obrazów mistrzów pejzażu polskiego, z Chełmońskim, Fałatem, Witkiewiczem i Ruszczycem na czele.

Równie bogato ozdobiono ilustracjami „Polską pieśń miłosną", gdzie znalazły się reprodukcje dwunastu wybitnych dzieł mistrzów polskich; przeważają śród nich sceny rodzajowe o temacie miłosnym.

Widnieją tutaj imiona, okrywające chwałą malarstwo nasze: Grottgera, Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, Kossaka (Wojciecha), Malczewskiego, Żmurki, Alfreda Wierusza-Kowalskiego i innych.

Staranność autora w opracowaniu obydwóch antologji zaznaczyła się poza dbałością o harmonijny stosunek formy wydawnictwa do treści, również objaśnieniem wyrazów i zwrotów staropolszczyzny, ogółowi dziś nieznanych. Spotykamy te objaśnienia przy niektórych erotykach Kochanowskiego oraz poetów wieku XVII: Szlichtynga, Potockiego, Kochowskiego i innych.

W. Rogowicz.



M. Reyzner. Sal. „Sztuka". (Fot. A. Masłowski). Po balu.



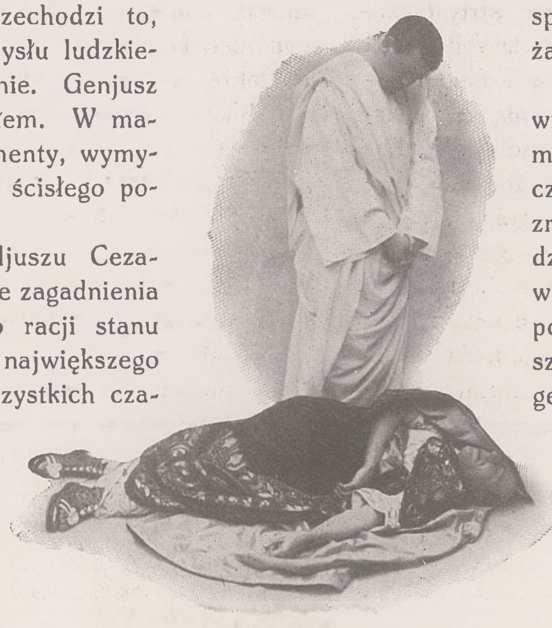
E. Kirszrotowa. Sal. „Sztuka". Portret bosonogiej tanc. St. Dąbrowskiej.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Teatr Polski wystawił „Juljusza Cezara“.

Leży jakaś niepożyta a niepojęta siła w utworach wielkiego poety, tego genjalnego „odkrywcy człowieka“, niedoścignionego znawcy jego duszy i serca. Dziś jeszcze, po latach trzystu z jakiemś zbożnem skupieniem słuchamy owych odkryć zdumiewających i, zda się, są one dla nas rewelacją. Mają one w sobie zawsze jakąś nieprzemijającą nowość i świeżość. Nie jesteśmy poprostu w możności nadziwić się dostatecznie wszechwiedzy tego dziwnego, z odległej epoki aktora, którego intuicja obejmowała tak bezmierne obszary zjawisk najróżnorodniejszych. Przechodzi to, rzekłbyś, zwykłą skalę umysłu ludzkiego. I przechodzi ją istotnie. Genjusz nie jest zjawiskiem zwykłem. W manifestacjach jego są momenty, wymykające się z pod kontroli ścisłego poznania naukowego.

Shakespeare w „Juljuszu Cezarze“ porusza najważniejsze zagadnienia polityczne — rozprawia o racji stanu za Juljusza Cezara, tego największego genjusza politycznego wszystkich czasów i, zda się, nie ustępuje mu bynajmniej w wielkości poglądów i idei; on przez usta Brutusa przemawia w imię złotej wolności szlacheckiej i pewnie optymaci wszystkich epok i wszystkich krajów odnaleźliby tam najpotężniejsze dla swych dążeń argumenty, on wreszcie nie waha się epokowej mowy Antonjusza odtworzyć w całości, wierząc, że odnajdzie w sobie wszystkie te środki i efekty demagogiczne, jakiemi ów największy karjerowicz świata zdobył posłuch wśród tłumów.



Nad zwłokami Juljusza Cezara.

Ale zastanawianie się nad tem zaprowadziłoby nas zbyt daleko — zapisano już o tem tomy. Długo, obszernie i szczegółowo analizowano owe nieporównane konstrukcje psychologiczne, które wielki poeta, mocą genjalnej intuicji wywołał z mgieł przeszłości i dał im realne, pełne prawdy i plastyki życie na scenie. Poznajemy je tam tak wyraziście, tak niewątpliwie, tak przekonywająco, że w wyobraźni naszej pozostają jako postaci żywe, zdecydowane najściślej w swej charakterystyce indywidualnej. Nie przeszkadza nam to, że autor renesansowy, jak zresztą wielu innych artystów tej epoki, dopuszcza się niekiedy rażących anachronizmów i pewnych niekonsekwencji historycznych, jak naprzykład ów zegar bijący... na 44 lat przed Chrystusem — gdyż natomiast w rysunku psychologicznym figur i wzajemnego ich do siebie stosunku w dramacie jest konsekwentny najzupełniej, figury te więc na tle epoki występują z niesłychaną wypukłością i co do sposobu ich ujęcia nie przedstawiają żadnych wątpliwości.

Dla aktorów jest to okolicznością wielkiej doniosłości. Wiedzą czego się mają trzymać w nakreślaniu zasadniczej linji roli. Teatr szekspirowski zresztą wyrobił już sobie w tej dziedzinie pewne tradycje. „Juljusz Cezar“ w teatrze naszym tradycji jeszcze nie posiada. Tragedję tę wystawiali w Warszawie przed kilkunastu laty meiningeńczycy. Grali ją oczywiście po niemiecku — po polsku „Juljusza Cezara“ usłyszeliśmy tu poraz pierwszy, co tembardziej podnosi zasługi Teatru Polskiego, a z całem uznaniem zaznaczyć trzeba, że wystawienie stało na wysokości zadania. Przedewszystkiem troska o możliwie najdalej posuniętą świetność wystawy znalazła tu wyraz nader wymowny. Uczyniono w tym zakresie, jak na nasze warunki, bardzo wiele.

Powiadam — jak na nasze warunki, gdyż zapewne meiningeńczycy, mając za sobą artystyczny kaprys księcia panującego, mogli to uczynić z większym nakładem kosztów. Mogą też pozwolić sobie na nierównie poważniejsze wydatki wielkie teatry stołeczne, które budżety swoje opierają na nierównie liczniejszej publiczności, ale i tu, jak z tego cośmy na scenie widzieli, na stroje, zbroje, dekoracje, rekwizyty jako też na tłumy statystów bynaj-



Teatr Polski. „Juljusz Cezar". Śmierć Juljusza Cezara. (Fotogr. z „Jul. Cezara" wykon. J. Malarski i K. Tavrell)

mniej nie żałowano. Doprawdy, więcej już wymagać nie podobna. Pozatem wystawa „Cezara" dowiodła czegoś więcej jeszcze niż szerokiej dłoni w szafowaniu groszem na potrzeby atrtystyczne. Mianowicie: dekorator teatru, p. W. Drabik złożył w sztuce tej dowody, że posiada smak artystyczny— poczucie stylu a zwłaszcza wcale nie przeciętną umiejętność zawodową, co w tych razach nie jest bynajmniej do pogardzenia. Istotnie dekoracja przedstawiająca Forum romanum z rostrą, oraz szeregiem licznych świątyń i bazylik, świadczyła o tem bardzo wymownie. Artysta przez umiejętne wykreślenia perspektywiczne, nawiasem mówiąc, doskonale w charakterze utrzymywanej architektury, potrafił wywołać wrażenie znacznej przestrzeni i powietrzności. Obraz ten naprawdę wypadł wspaniale.

Pan Drabik rysował też wzory kostjumów — z małem zastrzeżeniem — bez zarzutu.



Teatr Polski. „Juljusz Cezar". Wystawienie zwłok Juljusza Cezara na forum.

Co do gry aktorskiej, to była ona ze wszech miar godna pochwały. Wszyscy artyści dali w zakresie swych środków i warunków przyrodzonych kreacje interesujące oraz pełne wyrazu. Owszem, wyznam szczerze, że mieliśmy nawet bardzo miłe niespodzianki.

Taką niespodziankę zrobił przedewszystkiem p. Jerzy Leszczyński, grający Marka Antonjusza. Nie znaczy to bynajmniej, ażebyśmy nie wierzyli w siłę talentu tego tak naprawdę wybitnego artysty. Wprost przeciwnie. Tylko, nie spotkaliśmy w jego dotychczasowym repertuarze roli, którąby była bodaj najdalszą przesłanką do wniosku, że artysta zdoła wziąć na swe barki tego rodzaju zadanie. Pan Leszczyński tymczasem zagraniem Antonjusza dowiódł, że talent jego nietylko jest mocny w zakresie lekkiej komedji, ale także, że jest to talent o skali szerokiej i wielkie kreacje tragedji szekspirowskiej nie są dlań niedostępne.

Bardzo ciekawy utwór aktorski dał również pan Junosza jako Juljusz Cezar. Może kreacja ta wyborna w szczegółach, jako całość nie była dość stanowczo dociągnięta do monumentalności koncepcji szekspirowskiej, posiadała jednak wiele niepospolitych rysów do charakterystyki wielkiego bohatera— rysów pomysłowo wybranych, które już same przez się czyniły grę artysty bardzo zajmującą.

Mniej szczęśliwie wypadł Marek Brutus w interpretacji artysty tak niepospolicie utalentowanego, tak wyjątkowo pięknie wyposażonego w warunki przyrodzone, jak pan Józef Węgrzyn. Stało się to z tej prostej przyczyny, że postać tego fanatycznego republikanina — oligarchy, dla pewnych indywidualnych właściwości owych właśnie warunków, nie leży w charakterze artysty. Pan Węgrzyn swego Brutusa nie wyposażył w rysy znamienne, nieodzowne do uwypuklenia jego roli w tragedji, oraz stanowiska rodowo-politycznego, jakie w tragedji tej fatalnie nim rządziło.

Pozatem, zdaniem mojem,

Brutus p. Węgrzyna był za stary. W charakteryzacji jego jawił się na scenie mąż w wieku raczej podeszłym, o mocno przypruszonej siwizną brodzie i włosach. Myślę, że jest to niesłuszne. Brutus zginął mając lat zaledwie czterdzieści, w pierwszych zatem obrazach tragedyi jest jeszcze młodszy. Nadanie mu powierzchowności człowieka dalej w lata posuniętego obniża w nastroju scenę z Porcją — scenę, która w ujęciu Shakespeare'a posiada całą ostrość konfliktu miłości z obowiązkiem, konspiracya bowiem wyrywa Brutusa z objęć młodej, kochającej i kochanej żony.

Kasjuszem był pan Sosnowski i w roli tej czuł się doskonale, jak również należycie spełniał swe zadanie p. Szobert, odtwarzający postać Kaski. Artyści ci dali figury zajmujące w charakterystyce indywidualnej i doskonale utrzymywane w stylu ogólnym. To samo da się powiedzieć o p. Maksymilianie Węgrzynie, który grał Decjusza Brutusa. Nie podobna z długiego afisza wymienić wszystkich, którzy w zgodnym zespole przyczynili się do powodzenia świetnego spektaklu.

Dwie niewielkie role niewieście przypadły w udziale paniom Duninównie i Broniszównie. Zgodnie z intencyami autora wnosiły one do tragedyi, niby dla kontrastu, uczucia miększe i cieplejsze, a czyniły to z wdziękiem i niezaprzeczonym talentem.

Tragedya Shakespeare'a grana była w przekładzie A. Pajgerta, a w układzie scenicznym dyr. A. Szyfmana. Sztukę reżyserował p. Zelwerowicz, któremu doprawdy powinszować można sprawności, z jaką poruszał tłumami statystów.



Osterwa w roli Królewskiego Jedynaka.

* * *

Juljusz Cezar ciągle jeszcze utrzymuje się na afiszu i stale ściąga do Teatru Polskiego żądną podnioślejszych wrażeń publiczność. Tymczasem chwila przyniosła już nowe godne uwagi wydarzenia artystyczne. Do takich należy wystawiona ostatnio w Teatrze Rozmaitości komedja historyczna Lucjana Rydla „Królewski Jedynak" — przepiękne widowisko, które publiczność przyjęła z entuzjazmem, zaiste całkiem usprawiedliwionym.

Zanim jednak pomówimy o tej ostatniej, tak świetnej premierze na pierwszej naszej scenie dramatycznej, dla ścisłości kronikarskiej wypada słów kilka poświęcić — przedostatniej, choć znowu najudatniejszą bynajmniej nie była. Wystawiono tam mianowicie „Bajkę o wilku", komedję Franciszka Molnara, którego zabawny „Djabeł" cieszył się u nas ongi dość znacznem powodzeniem... kasowem. „Bajka o wilku" i takiego sukcesu nie zdobyła, pomimo świetnej gry pani Ordon-Sosnowskiej, oraz panów Solskiego i Weycherta w rolach głównych, jak również doskonałego zespołu i bardzo starannej wystawy.

Winna tu jest bezwzględnie sama sztuka — nieciekawa w pomyśle i niezbyt zręczna w wykonaniu.

Pozatem Molnar, pomimo poprzednich sukcesów, jest widocznie autorem niedoświadczonym. *Si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi,* radzi Horacy poetom, którzy chcą wzruszać swemi utworami. „Jeżeli chcesz, bym płakał — płacz sam". Pan Molnar sztukę swoją zaczyna od nastroju nudy. Nudzi się okropnie dwuch oficerów w jakiejś pustej restauracji, nudzi się banda usługujących im kelnerów, myślę też, że i autor musiał nudzić się uczciwie wraz z całą kompanją, bo nastrój udziela się publiczności, a jest to, każdy przyzna, nastrój ze wszystkich nastrojów najmniej w teatrze pożądany.

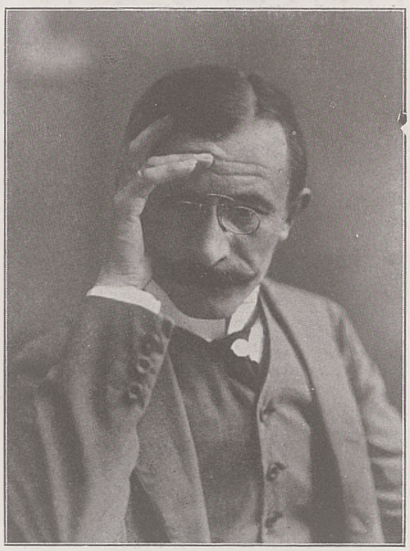
Daleko bardziej interesująca była premjera w teatrze „Letnim" (!), a to z tego choćby powodu, że ujrzeliśmy tam sztukę swojską. Panowie K. Nowina i M. Tatarkiewicz napisali oryginalną farsę polską, dyr. zaś Śliwiński, rozporządzając pierwszorzędnymi w tym zakresie siłami aktorskiemi, wystawił ją ku powszechnemu zadowoleniu jaknajświetniej.

Tytuł tej polskiej krotochwili brzmi nieco egzotycznie: „Wcielenie Afry". Zresztą farsa jest osnuta na tle stosunków nie naszych. Rzecz dzieje się we Francji. Ale to nie zarzut. Całość jest zabawna, pełna ruchu i daje pole do wdzięcznych popisów tanecznych pannie Poli Negri, co publiczność przyjmuje z żywem zadowoleniem.



Teatr Rozmaitości. „Królewski Jedynak". Ofiarowanie srebrnego kurka delegacji. (Fotografje z „Królewskiego Jedynaka" wykonał Wł. Sztyblewski).

A teraz owe wydarzenie najważniejsze: Dnia 28 stycznia Teatr Rozmaitości ukazał w całym blasku świetnej wystawy i najświetniejszej, jaką sobie tylko można wyobrazić, gry aktorskiej, wybitny utwór poety polskiego — piękną, osnutą na tle dziejów naszych komedję. „Królewski Jedynak" stanowi pierwszą część trylogji, w której Lucjan Rydel zamknął historję panowania Zygmunta Augusta. Zapewne sztuka zdobyłaby znacznie więcej wypukłości i barwy szczególnej, gdybyśmy mogli w szeregu następujących po sobie wieczorów ujrzeć dwa drugie epizody tej wielkiej kompozycji teatralnej, ale i tak, jako odrębna, zamknięta w sobie całość posiada ona dość własnej mocy, ażeby utworzyć wieczór intensywnych wrażeń estetycznych. Było to istotnie w ostatnich czasach jedno z przedstawień najbardziej zachwycających, co pospieszam z prawdziwą radością zaznaczyć.



Lucjan Rydel. (Fot. A. Gürtler).

Tak, rad jestem niewymownie, że mogę sobie pozwolić na trochę entuzyazmu. Nie mając tu miejsca na podniesienie zalet samego utworu o rzeczywiście bardzo wysokiej wartości literackiej, utworu, którego żywy, gorący, właściwy najbujniejszej w dziejach naszych epoce koloryt, porywa imaginację, pragnę przynajmniej podkreślić niezwykle szczęśliwe wykonanie ról poszczególnych przez wszystkich grających w sztuce artystów, jak również nader pomysłowe, pełne stylu i charakteru ujęcie całości, co jest zasługą umiejętnej pracy reżyserskiej pana Solskiego, jako kierownika tej sceny. Znaczyło się to wyraźnie na każdym kroku i o każdej chwili. Doprowadzono do ostatecznych granic realizację artystycznych zamierzeń poety, a, zda się, nad wszystkiem unosiła się jeszcze myśl inna — myśl genialna Matejki. Rzekłbyś, znakomite postaci dziejowe opuściły nieśmiertelne płótna wielkiego mistrza krakowskiego i w całej potędze swej niepospolitej charakterystyki przemówiły ze sceny piękną archaiczną polszczyzną. Zwłaszcza p. Kotarbiński, jako Zygmunt Stary dał kreację poprostu doskonałą, zarówno pod względem zewnętrznego rysunku figury, jako też duchowej interpretacji roli. Artysta wyposażył króla Starego i w majestat władzy i w ciepłe serdeczne uczucia rodzinne i w znamienne cechy rodu, z jakiego pochodził.

Znakomicie też w charakterystyce utrzymała pani Lüdowa rolę królowej Bony. Artystka pamiętała o tem, że księżniczka ta, przygotowywana do



Teatr Polski. „Szopka warszawska" Or-Ota. (Fot. J. Malarski i K. Tavrell).



J. Leszczyński w „Szopce warszawskiej" jako huzar polski.

rządzenia otrzymała męzkie wychowanie, że rządząc też arbitralnie i chciwie, wyrobiła w sobie pewne rysy szczególne, które jej postać rasową w szczególnych ukazywały kształtach. Niezmiernie sympatycznym, pełnym młodzieńczego wdzięku i romantycznego sentymentu był pan Osterwa, jako Zygmunt August. Pan Solski dał prawdziwy majstersztyk charakteryzacji, przedzierzgając swoją wątłą postać w opasłego Gamrata. Pan Kawalski szczerze bawił nader pomysłowo przeprowadzoną figurą prostaka litewskiego w roli kniazia Podźgałły. Pani Pawińska, jako Aurora, podbijała urodą i zalotnością. Najwięcej wszakże serc, zdaje się, zjednała sobie panna Szyllinżanka, która w roli nieszczęśliwej Lisbety Rakuskiej tyle posiadała szlachetnego liryzmu i szczerości, że doprawdy trudno się było oprzeć płynącym w jej słowach uczuciom.

Dalej idą wspaniałe, z matejkowskich płócien żywcem kopiowane postaci historyczne: więc przedewszystkiem Stańczyk — Roland, przepyszny Kmita — Rapacki, wyborny Jan Tarnowski — Staszkowski, doskonali Radziwiłłowie — Czarny i Rudy w grze pp. Knake-Zawadzkiego i Różańskiego, Samuel Maciejowski — Bednarczyk i Marsupio-Paliński. Bardzo obiecująco przedstawił się jako Bekwark p. Artur Socha, uczeń szkoły aplikacyjnej. Pięknej całości dopełniło grono dam dworu z pp. Bogusławską i Rolandową na czele.

Z powodu nawału materjału sprawozdanie z ostatniej nowości Teatru Polskiego „Szopka Warszawska" Or-Ota odkładamy do następnej kroniki. *T. Jaroszyński.*



Teatr Letni. „Wcielenie Afry". Tańce wschodnie w akcie II. (Fot. Wł. Sztyblewski).

Z refleksji karnawałowych.

Jesteśmy w sytuacji wyjątkowej, a zatem w naturalnym rzeczy porządku różne przejawy naszego życia muszą mieć nastroje specjalne, nawet zabawa...

Jeśli tańczy francuz, anglik, niemiec, murzyn, indjanin, albo eskimos, to dlaczego, że od czasów najdawniejszych posuwanie się, balansowanie, podrygiwanie, bądź podskakiwanie w takt muzyki jest jedną z najmilszych rozrywek ludzkości.

Co innego polak-warszawiak... On tańczy przedewszystkiem dlatego, że z nadejściem wdzięcznej pory karnawałowej apeluje do wspaniałomyślności jego nóg wielki zastęp instytucji filantropijnych...

Stąd warszawianka i warszawiak, tańcząc spełniają akt miłosierdzia, rozbłękitnieni uczuciem... poświęcenia.

— Będzie pani na „Balu wyśnionym“ w resursie?

— Co począć? — wzdycha złotowłosa, spoglądając z takim wyrazem swoich wielkich ócz błękitnych — jak gdyby miała utonąć za chwilkę.

Co począć? Fundusze „na wpisy“ potrzebują zasiłku.

I złotowłosa, strojna, pachnąca, promieniejąca gorliwie pracuje w resursie w imię oświaty...

Pracuje na opał dla biednych, lekarstwa dla chorych, na kaszę dla głodnych, na kształcenie zawodowe kucharek, któż zliczyć zdoła pobudki wszystkich występów pracowitych... Słowem, zabawa nie jest celem naszych zebrań towarzyskich, ale środkiem do zdobycia gotówki pod impulsem uczuć altruistycznych.

I to całe szczęście, inaczej bowiem Warszawa, na podstawie dowodów dokumentalnych, musiałaby uchodzić za miasto szalone, które w pewnym okresie roku nic nie robi, tylko... tańczy.



B. Gęstwicki. Sal. Richlinga. Taniec nowoczesny

Nasuwa się oczywiście zapytanie, czy naszej filantropji nie należałoby nadać jakiejś innej formy? Czy owa forma tańcząca jest przedewszystkiem wskazaną? Czy dostarczając pewnych korzyści, nie przynosi równocześnie dużo szkody, coraz bardziej rozwijając życie nad stan?

Ale nie odpowiadajmy zrzędom, przypatrzmy się zaś raczej wielkim zyskom, płynącym z karnawałów warszawskich, których pozazdrościć nam mogą: Paryż, Londyn, Wiedeń, Berlin i wiele innych miast.

Otóż przedewszystkiem, tańcząc, nie dla zabawy, ale dla pracy społecznej, ćwiczymy się w nieszczerości, która jest jedną z „cnót“ kardynalnych wszystkich narodów pod względem politycznym wyrobionych. Szczerość — to wróg dyplomacji, jej siostra—bliźniaczka to nieszczerość... Owa antidyplomatyczna szczerość wypowiadania, na urągowisko nakazom polityki, wszystkiego co kiedykolwiek wymyśliliśmy, co wymyślimy i zamierzamy wymyślić, w praktyce okazała się wadą tak wielką, iż powinniśmy chwytać każdą sposobność, zdolną ćwiczyć nas w nieszczerości...



Z tańców Wschodu. (Fot. Wł. Sztyblewski).

Jeśli przeto warszawiak pędzi na bal z radością w duszy, gdyż pasjami lubi tańczyć, równocześnie zaś twarz swoją strojąc w uśmiech melancholijny, mówi z westchnieniem: „muszę się poświęcić, albowiem biedni ludzie potrzebują węgli“ — tem samem odrabia cenne ćwiczenie dyplomatyczne i wkracza na drogę jedynie godną każdego europejczyka współczesnego...

Drugą korzyścią niezmiernie ruchliwego karnawału jest gimnastyka energii, wyrabianie poczucia pośpiechu, poszanowania dla pewnika, że „czas to pieniądz“... Ponieważ wszystkie warszawskie instytucje filantropijne, od największych począwszy, na

najmniejszych skończywszy, urządzają bale, bądź maskarady, przeto muszą się prześcigać wzajemnie, pospieszać, cenić każdy dzień, każdą godzinę, bo kto wcześniej wezwie sfery bawiące się na pracę taneczną, ten większe osiągnie rezultaty niż opieszali, którzy odwołują się do wspaniałomyślności nóg i nóżek warszawskich wówczas gdy są one nadmierną działalnością sfatygowane, w zgodnej harmonji z kieszeniami także bardzo sfatygowanemi. Czyż trzeba zapewniać, jak bardzo społeczeństwu nasze muszą potrzebne takie ćwiczenia tężyzny, na sposób amerykański?

W łączności z powyższem pozostaje gimnastyka wyobraźni, praca nad rozwojem myślowym. Chcąc aby te bale nie tonęły w odmęcie własnym, trzeba je spowijać w urok, w powab specjalny, przez nadawanie nazw mile pieszczących imaginację ludzką...

A wyszukiwanie tych nazw coraz większe przedstawia trudności, wobec wyczerpania wszystkich rozkosznych pojęć abstrakcyjnych oraz cudnych okazów botanicznych...

„Bal marzeń“, „ukojeń“, „ochoczy“, „dziarski“, „wyśniony“, „róż“, „konwalji“, „nenufarów“, „bratków“, „goździków“, „tulipanów“, „wiośniany“, „do białego rana“...

Wszystko to już było...

Istotnie, o tytuły coraz trudniej, więc należałoby jaknajprędzej ogłosić konkurs na nazwy balowe.



B. Gęstwicki. Sal. Richlinga. Wyszukane pas.

Z góry oświadczam, że wezmę udział w tym turnieju szlachetnym i pożytecznym, nim to jednak nastąpi, pozwolę sobie wymienić kilka nazw, które dotychczas nie znalazły zastosowania.

Naprzykład: „Bal panien posażnych“, (powodzenie pierwsze, przy ogromnym udziale panien i młodzieży w liczbie przeważającej), „Bal panien do lat dwudziestu“ (powodzenie olbrzymie), „Bal najpiękniejszych“ (sukces kolosalny), „Bal konkurentów bezinteresownych“ (sukces niesłychany), „Bal kawalerów dobrze sytuowanych“ (powodzenie wiekopomne!“)

Słowem, przy dobrej woli, można znaleźć jeszcze wiele pomysłów niewyeksploatowanych... Tymczasem jednak, wre, musuje, kipi karnawał tegoroczny. Niepodobna wyliczyć wszystkich zabaw, które odbyły się dotychczas, przewidzieć, jakie jeszcze się odbędą. Wielkie bale publiczne, korporacyjne, wieczornice z tańcami, herbatki i kawy czarne, „tańcujące“ wreszcie reduty tworzą wielki orszak karnawału tegorocznego. Dają one pole warszawiankom do wykazania właściwego im gustu i taktu. Moda wymaga, żeby spódniczki były rozcięte przynajmniej z jednego boku, w niektórych zaś krajach hołdowanie modzie tak jest niewolnicze, że cesarz austryjacki i król angielski wyrazili życzenie, aby damy nie ukazywały się na dworach w sukniach rozciętych... Warszawianki same wiedzą jak czynić... Więc panienki rozcinają troszeczkę, a panie odrobinkę więcej, ale bez krzywdy dla przyzwoitości. Stąd i moda ma zadosyćuczynienie i dobry smak również. Piękne są i wytworne, gdy jak motyle równobarwne kołyszą się przy frakach czarnych w takt walców modnych. Jak one umieją harmonizować strój z rodzajem swojej urody, jak wiedzą, gdzie podpiąć, co przypiąć, jaką dobrać egretę, gdzie rzucić kwiat... Jeśli nawet która z nich nie posiada odpowiedniej dozy świadomości, to nie zawiedzie jej intuicja... Uprzejmie proszę zjechać Europę wszerz i wzdłuż i znaleźć taki wdzięk, taki szyk, taki gust, taką linję, słowem czar, któremu na imię... Warszawianka!

Nie pozostaje, jak życzyć im w dalszym ciągu wesołej zabawy...

Pal.

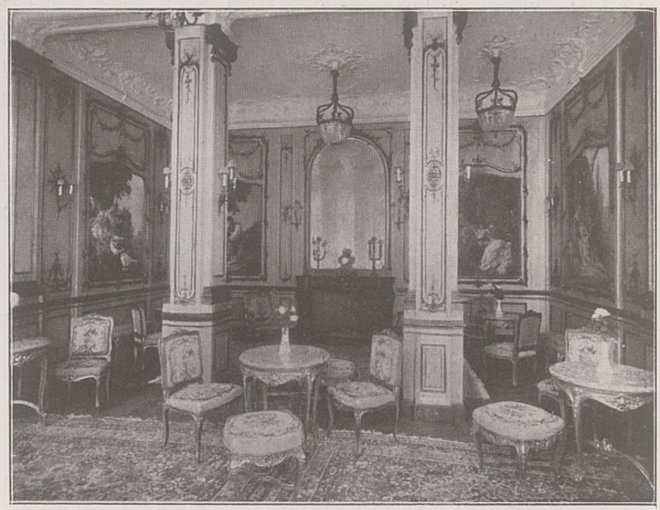
PRAWDZIWA OZDOBA WARSZAWY

SKLEP Z CUKRAMI I CZEKOLADĄ
JANA FRUZIŃSKIEGO



Widok domu firmy „Jan Fruziński" od frontu.







Przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Wilczej zbudowany został, przez znaną firmę „Jana Fruzińskiego", wspaniały gmach, utrzymany w czystym stylu Ludwika XV, według projektu architekta Nagórskiego.

Gmach ten przyozdobiony z zewnątrz granitem, marmurem oraz ręcznemi ozdobami w miedzi, stanowi prawdziwą ozdobę tej dzielnicy naszego miasta.

Nie mniej okazale przedstawia się wnętrze sklepu, oraz przylegających doń salonów, utrzymanych również w stylu Ludwika XV. Salony te, w których podają wytworną czekoladę, zadawalają zupełnie estetyczny smak publiczności, której oko z przyjemnością spoczywa na rzeźbionych przez p. Smoczyńskiego boazerjach, prześlicznych stiukach, wykonanych przez p. Gardeckiego, na oryginalnych perskich dywanach, zaściełających posadzki, lub też na stylowych, złoconych meblach, krytych gobelinami.

I nie dziw że salony Jana Fruzińskiego, przeznaczone jako miejsce odpoczynku dla wytwornej publiczności, zyskały odrazu jej uznanie, są przeto licznie zamawiane na zbiorowe podwieczorki, na życzenie panów podają również wyborną czarną kawę.

NA CZASIE

PARĘ UWAG NAD ZNALEZIONĄ KORONĄ.

Gdy rozeszła się po kraju wieść o odnalezionej polskiej koronie, społeczeństwo przyjęło całą sprawę nietylko radośnie, lecz i bezkrytycznie. Mniemano że odnaleziona korona jest polską koronacyjną koroną, potem dopiero zdecydowano się na drugą hypotezę, że jest to tylko t. zw. pomocnicza, zastępcza korona głównej koronacyjnej, na jej podobieństwo przed wiekami sporządzona, której używali monarchowie podczas uroczystości dworskich.

Nie jest bynajmniej naganny entuzjazm, z jakim wieść przyjęto; w naszych warunkach, gdy podczas zawieruch dziejowych straciliśmy tyle cennych i drogich sercom naszym pamiątek, któżby się nie radował z odnalezienia tego lub owego skarbu, któżby w pierwszym odruchu serca przywoływać miał zimne refleksje nad tem, czy istotnie autentyczność korony może nie ulegać żadnym wątpliwościom, któż ośmieliłby się w pierwszej chwili na tak chłodną rozumową analizę i któż lancetem swych dociekań mózgowych mógłby ranić serdeczne nasze uczucia. Tak, nawet uczony i historyk o najbardziej chłodnej rozwadze, wierzący tylko dociekaniom, opartym na dowodach realnych, w archiwach odgrzebywanych, pobłażliwie w takich razach spoglądać musi na entuzjazm społeczeństwa i powiedzmy nawiasem — sam zapewne podobnych uczuć doznaje. Cóż robić — mamy serca i kochamy, i to jest naszym skarbem, którego nikt nam nie skradnie.

Ale gdy pierwsze podniecenie minęło, winien stanąć przed nami obowiązek — nie wolno nam dalej opierać swych przekonań na hypotezach, nie wolno nam już teraz bezkrytycznie traktować sprawy, bądź co bądź mającej poważne znaczenie archeologiczne, sprawy tak cennej dla każdego, komu drogą jest przeszłość i historja naszych dziejów, nie wolno nam z Wawelu, gdzie skarby nasze spoczywają, tworzyć znów Rapperswylu—tego z przed lat kilku, jakim był za rządów fanatycznych manjaków, produkujących narodowe pamiątki.

Rozpoczęto więc sumienne badania nad znalezioną koroną. Pracy podjął się w pierwszym rzędzie znany nasz uczony, d-r Stanisław Eljasz Radzikowski przy współudziale profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, d-ra Józefa Marjana Morozewicza, który znów badać będzie kryształy odnalezionej korony. Badanie krystalograficzne potrwa dłużej, narazie więc musimy się oprzeć na badaniach archeologiczno - historycznych prof. Radzikowskiego, których wynikiem jest przedewszystkiem stwierdzenie, że odnaleziona korona nie jest bynajmniej polską lecz jest koroną cesarza rzymsko-niemieckiego i króla czeskiego, luksemburczyka, Karola IV, wykonaną na podobieństwo korony św. Wacława, a zginąć miała jakoby wówczas gdy w r. 1363 Karol IV przybył do Krakowa na swój ślub z Elżbietą księżniczką pomorską, wnuczką Kazimierza Wielkiego. Tu snuje dr. Radzikowski przypuszczalną historję skradzenia przez jednego z dworzan korony, gdy po uroczystościach krakowskich, drogą na Będzin i Olkusz wracali królewscy małżonkowie przez Szląsk do Pragi. Złodziej jakoby skradzioną koronę zakopał pod drzewem, które miało być dlań wskaźnikiem, gdzie poszukiwać ukrytego skarbu. Trudno jednak przypuścić, żeby nawet wówczas decydował się ktoś na kradzież korony, co przecież było sprawą gardłową a nie zapewniało, jak w danym wypadku zbytnich korzyści, korona bowiem nie była ze złota a z bronzu, kamienie zaś—zwykłymi kryształami. Nie chcąc się narażać, nie mógłby złodziej sprzedać korony w całości a za połamane kawałki, sprzedane na szmelc, cóżby otrzymał? Drobiazg, może parę dukatów.



Korona, znaleziona pod korzeniami wywróconego drzewa, znajdująca się obecnie w skarbcu na Wawelu.

Na taką sumkę, ryzykując życie, nie łakomiłby się napewno dworzanin królewski a tylko może jakiś zbir-przybłęda, lecz czyż włóczęga miałby dostęp do kolasy królewskiej, u której pudła korona była przymocowana? Czyż w podróży straż dopuściłaby nieznanego człowieka do monarchy, nie mając nań czujnego oka?

Podczas ucieczki z koroną, złoczyńca jakoby miał być zabity przez pościg. Kiedyżby więc miał czas zakopać przedmiot kradzieży pod drzewem? A zresztą, jeżeliby po zakopaniu korony ścigano złodzieja, gdy celem pościgu byłoby odebranie łupu, nie widząc większego zawiniątka (korona i szyszak) przy ściganym, napewnoby go nie zabijano, lecz schwycono żywcem, żeby torturami zmusić do wydania miejsca ukrycia.

Dalej — drzewo, które miałoby być dla złodzieja wskaźnikiem ukrycia skarbu już wówczas musiałoby wyróżniać się swą wielkością i rozłożystością z pośród innych drzew odwiecznej puszczy, niechby więc tylko dwieście lat liczyło w tym czasie, do czego gdy dodamy 550 lat (czas przeleżenia korony pod drzewem) otrzymamy 750 lat. Dla dębu to możliwe, lecz ponieważ, jak głoszono, korona znalazła się pod lipą, nie można więc stwarzać legendy kradzieży z zakopaniem pod nią skarbu, żadna lipa bowiem nie przetrwa tylu wieków.

Nie było więc żadnej kradzieży, zakopywań i zabijań. Ot, poprostu, na wyboistej drodze zerwały się rzemienie, którymi przytroczony był szyszak z koroną i skarb potoczył się niepostrzeżenie w jakąś rozpadlinę czy wgłębienie; deszcze, wody i czas dokonały dalszego ukrycia; przypadkowo, może w kilkaset lat potem, od innych drzew zasiało się na tem miejscu drzewko i urosło z biegiem lat w potężną lipę, którą wicher przewrócił, odsłaniając pod korzeniami szyszak i koronę.

W taki sposób najprawdopodobniej znalazła się owa korona w ziemi i na



Teatr Nowoczesny. „Oszukany Kadi“, opera komiczna Glucka. Dekoracje i kostjumy prof. E. Trojanowskiego, patrz str. 22. (Fot. St. Nofok-Sowiński).



ELŻBIETA KORWINÓWNA (Hr. KRASIŃSKA).
Występy gościnne w Operze, — patrz str. 22.

ziemi polskiej, a chociaż nie jest to korona polska, posiada jednak z wielu względów i dla nas wielkie znaczenie archeologiczno-historyczne i naukowe, dobrze więc że wzbogaciła zbiory pamiątek narodowych na Wawelu.

W. Z.

KRONIKA.

Pamiętnik Teatru Polskiego.

Zwyczaj zdawania sprawy z całorocznej działalności przez teatry zaginął od r. 1872, kiedy ukazał się w Warszawie ostatni „Pamiętnik“, wydawnictwo, zapoczątkowane w r. 1808 przez ogłoszenie „Rocznika Teatru Narodowego Warszawskiego“. Należą się gorące słowa uznania dyrekcji Teatru Polskiego za wskrzeszenie chwalebnego zwyczaju. Mamy właśnie przed sobą wytwornie wydane ilustrowane sprawozdanie z działalności artystycznej tej wybitnej placówki sztuki teatralnej w Warszawie za pierwszy rok jej istnienia.

Wysoki poziom artystyczny nowego teatru stołecznego niejednokrotnie w ciągu pierwszego sezonu zapisał się niestartemi zgłoskami w pamięci miłośników sceny. Podziwialiśmy energję i kulturę dyrektora i właściwego twórcy teatru, d-ra Arnolda Szyfmana, smak i pomysłowość kierowników działu dekoracyjnego: Karola Frycza i Win-



MIECZYSŁAW FRENKIEL.
Z okazji przedst. benefis. znak. art. w Teatrze Wielkim.
(Popiersie wystawione w Sal. Richlinga, wykonane przez Kaz. Kamińskiego, znakomitego artystę dramatycznego).

centego Drabika, owocną pracę całego zespołu artystycznego z reżyserami: Sosnowskim, Zelwerowiczem i M. Węgrzynem na czele. Co do repertuaru Teatru Polskiego, część krytyki i publiczności, olśniona inauguracyjnym „Irydjonem“, stawiała pewne zarzuty kierownictwu, nie mogąc się pogodzić z koniecznością uwzględniania w nowoczesnym teatrze różnych dziedzin twórczości dramatycznej. W „Pamiętniku“ znajdujemy umotywowanie tej konieczności, oparte na przykładach pierwszych teatrów dramatycznych w Europie. Publiczność (co chwalebnie o niej świadczy) zasmakowała w repertuarze klasycznym i chciała w nim widzieć linję wytyczną działalności nowego teatru. Dyrekcja cyframi dowiodła, że wystawiła z tego repertuaru w ciągu jednego sezonu tyle sztuk, ile wystawiły łącznie w ciągu tego czasu teatry Stanisławowskiego, Komedja francuska i Burgtheater.

A oto ich tytuły i nazwiska autorów: Krasińskiego „Irydjon“, Kamińskiego i Kurpińskiego „Krakowiacy i górale“, Fredry „Damy i huzary“, Arystofanesa „Gromiwoja“, Moliera „Lekarz mimo woli“, „Grzegorz Dandin“, Szekspira „Burza“, Korzeniowskiego „Wąsy i peruka“, Szekspira „Juljusz Cezar“. A repertuar ten wypełnił 225 przedstawień w ciągu jednego sezonu“.

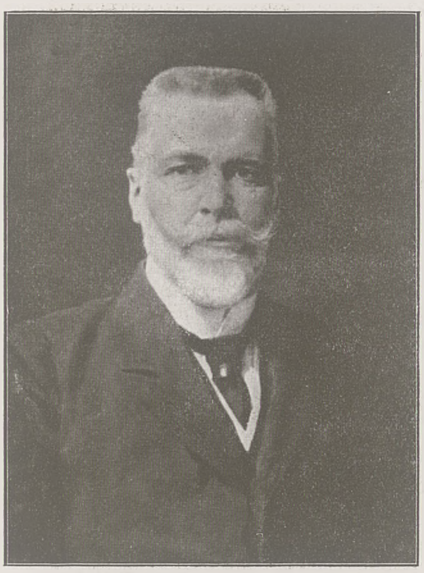
„Pamiętnik“ zawiera serdeczne wspomnienie o ś.p. Tomaszu hr. Potockim, jednym z najzabiegliwszych i najzasłużeńszych opiekunów tea-



Dyr. ARNOLD SZYFMAN.
Z okazji 1-ej rocznicy Teatru Polskiego.



GRZEGORZ FITELBERG.
Koncerty w Filharmonji, — patrz str. 22.



MICHAŁ hr. SOBAŃSKI.
Ofiarował z górą 100.000 rb. na rzecz kursów przemysłowo-rolniczych, — patrz str. 22.

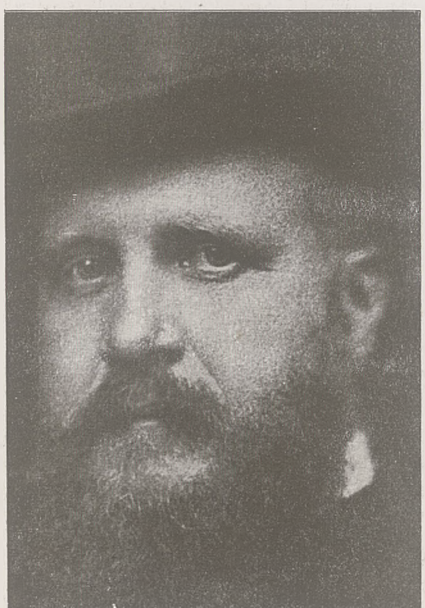


Komitet krajowej wystawy kilimów we Lwowie z prezesem hr. Mycielskim na czele.

tru Polskiego, dalej historję powstania nowej sceny warszawskiej, dokładną kronikę jej działalności w roku ubiegłym, spis wszystkich pracowników i statystykę repertuaru.

Ta statystyka zasługuje na szczególną uwagę. Oto „Irydjon" grany był 48 razy, „Nowe Ateny" 20, „Krakowiacy i górale" 46, „Miodowy miesiąc" 15, „Wróg ludu" 9, „Trójprzymierze" 6, „Damy i huzary" 16, „Lilje" 26, „Gromiwoja" 20, „Anatol" 12, „Lekarz mimo woli" i „Grzegorz Dandin" 19, „Panny" 33, „Burza" 30, „Wąsy i peruka" 29, „Dzieci" 16, „Kresowy rycerz Wesołek" 8, „Sprawiedliwość" 8, „Gwiazda" 25, „Juljusz Cezar" 20, „Szopka warszawska" 2.

Ogółem wystawiono w ciągu roku na scenie teatru Polskiego 20 premjer, przedstawień zaś odbyło się ogółem 408.



KAROL hr. LANCKOROŃSKI.
Znany mecenas sztuki, mianowany ostatnio w Austrji wielkim podskarbim cesarskim.

Dr. Juliusz Twardowski.

Już przed laty, dr. Juliusz Twardowski, powołany do biura prezydyalnego rady ministrów, rozwijać począł w tem



Dr. JULJUSZ TWARDOWSKI.
Ceniony działacz i autor wybitnych dzieł o Galicji.

środowisku pożyteczną i cenną działalność. Od wielu lat stanął również w szeregach obywatelskiej pracy społecznej, rozwijając ją głównie w kierunku stworzenia i podniesienia wielkiego przemysłu fabrycznego w Galicji.

W prezydjum Ministerstwa dla Galicji, pracując dzisiaj już na stanowisku radcy ministerjalnego, z wielkim pożytkiem wyzyskuje stosunki swe w najwyższych sferach przedewszystkiem dla sprawy polskiej. Twardowski położył wielkie zasługi przy organizacji wiedeńskiej wystawy jubileuszowej w Buenos Aires, — w roku 1910 odbył też oficjalną podróż do Argentyny, gdzie brał udział w prywatnych rokowaniach w sprawach kolonizacji i wychodźtwa, później zwiedzał Brazylię i Chili, a po powrocie miał kilka odczytów w Wiedniu.

W lecie 1912 r. z Ćwiklińskim prowadził po Galicji wycieczkę korporacji dla popierania umiejętności politycznej.

Kulminacyjnem jednak punktem działalności i pożytecznej pracy Twardow-



Wnętrze jednej z sal krajowej wystawy kilimów we Lwowie.



Łącznik automatyczny do wagonów kolejowych pomysłu inż. Witolda Sokołowskiego, — patrz str. 20.



Wulkan Sakurajima w południowej Japonji, którego wybuch zniszczył niemal doszczętnie miasto Kagoshimę i pochłonął kilkadziesiąt tysięcy ofiar w ludziach. Widok wulkanu podczas działania wkrótce po wybuchu.

skiego jest niezawodnie akcja ku podniesieniu ruchu obcych w Galicji. Znakomity odczyt jego, wygłoszony w Wiedniu 2-go grudnia 1912 r. w wielkiej sali Uranji z przedstawieniem obrazów naszego pięknego kraju na ekranie przez paryską firmę kinematograficzną, w obecności arcyksiążąt, wszystkich ministrów oraz dyplomatów, najwyższej arystokracji i plutokracyi stolicy, wywołał ogromne wrażenie i entuzjastycznie powitany został przez całą tamtejszą prasę. Prelegent nazwał wówczas Galicję „jardin secret“, który jest czwartą częścią całej Austrji. Wnet wydaje Twardowski wspaniale ilustrowaną publikację „Galicja“, dzieło poświęcone stosunkom etnograficznym, gospodarczym i kulturalnym, oraz piękności krajobrazów, sztuce i zabytkom historycznym, z naukowo pogłębioną monografią, przypominającą dzieła Arcyksięcia Rudolfa „Austrja w słowie i obrazach“. Wreszcie ukazuje się na półkach księgarskich Europy ostatnia mozolna jego praca, „Przewodnik po Galicji“, na wzór słynnych Bädeckerów znakomicie ilustrowany i redagowany.

Obie prace, w celu szerszego rozpowszechnienia w języku niemieckim wydane, wkrótce rozeszły się po całej Europie i pierwszy nakład firmy Hartlebena został wyczerpany. Zagraniczna prasa poświęciła sympatyczne feljetony i artykuły naszej „Terra nova“, czerpiąc z bogatych źródeł Twardowskiego nieraz cenne informacje. Niebawem mają się ukazać również przewodniki w języku polskim, francuskim i angielskim.

Wkońcu nie mogę pominąć, że liczne prace literackie i naukowe Twardowskiego w języku niemieckim o sztuce



Inż. WITOLD SOKOŁOWSKI, wynalazca łączników autom. do wagonów.



Perjodyczne katastrofy na kolei Warsz.-Wied. Ostatnia katastrofa pod Grodziskiem, podczas której nie obeszło się bez ciężko rannych ofiar z pośród służby kolejowej.



Główna ulica w Durazzo, stolicy Albanji.



Pałac książęcy (po lewej stronie) i ratusz w Durazzo (po prawej stronie).

polskiej, literaturze i muzyce kościelnej oraz tłumaczenia nowel i powieści polskich, dalej dzieła naukowe z dziedziny prawa państwowego i administracji zaszczytnie są cenione.

J. Koperski.



Ś. p. WALDEMAR PIOTR PIWNICKI, prezes Dyr. Szczeg. Tow. Kr. Ziemsk. w Płocku, patrz str. 21.

Doniosły wynalazek polaka.

Łącznik automatyczny do wagonów kolejowych pomysłu inż. Witolda Sokołowskiego.

Dotychczas stosowany sposób łączenia wagonów za pomocą łańcuchów śrubowych naraża na wielkie niebezpieczeństwo robotników kolejowych, którzy zmuszeni są w ruchu wagonów wchodzić między bufory. Z tego powodu ogłaszane były od czasu istnienia dróg żelaznych wszechświatowe konkursy na łącznik automatyczny, które jednakże dla wielkich trudności, z którymi walczyli wynalazcy, nie dały żadnych dodatnich rezultatów. Łącznik automat inż. Witolda Sokołowskiego — przedstawiony na fotografji, rozwiązuje w zupełności ten trudny problem.

Wymieniony wynalazek był przedstawiony komisji ministerjalnej pod przewodnictwem vice - ministra Szczukina i uznany jako odpowiadający wszelkim wymaganiom ruchu kolejowego.

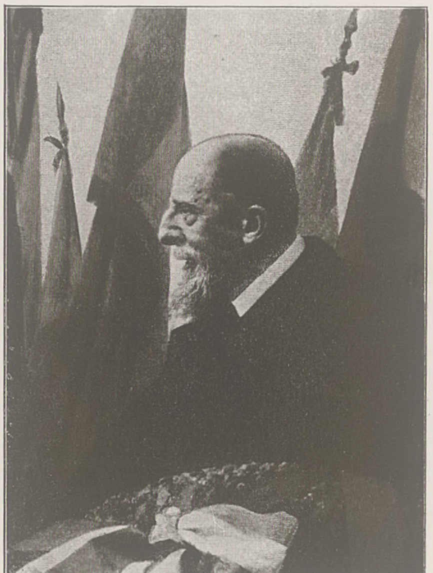
Firma „Lilpop, Rau i Loewenstein" otrzymała od ministerjum komunikacji pierwszy obstalunek próbnych łączników, które mają być zastosowane na linji „Carskie Sioło".

Zamęt albański.

Świeżo utworzone państwo albańskie możnaby nazwać państwem wszechrządów: powołani i niepowołani, jednem słowem wszyscy razem i każdy z osobna władzę nad ową obiecaną dla ks. Wieda krainą sprawują. W Skutari rezyduje komisja międzynarodowa, w Walonie Izmail-bej dzierży władzę rządu tymczasowego, w Durazzo władzę sprawuje głośny Essad basza, w San-Giovanni di Medua — delegat austryjacki, w Alessio — angielski, El-Bassan i Tirana jest pod władzą dwuch bejów, pozatem jeszcze i Włochy tu i owdzie władzę swą akcentują. Tylko ks. Wieda dotychczas jeszcze niema. Jedzie i dojechać nie może, przyjął berło i jeszcze go nie dzierży. A podobno dobre nawet intencje ożywiają przyszłego władcę Albanji. Pragnie wnieść kaganek oświaty i rzucić ziarno kultury półdzikim szczepom przyszłego swego księstwa, pragnie poprawić finanse albańskie a właściwie stworzyć tam finanse, bo kasy są puste, a co było to „przyjaciele" angielscy i austryjaccy z kasy państwowych ceł pomiędzy sobą przykładnie i zgodnie rozebrali. Kołacze więc ks. Wied do skarbców państw, z których ręki przyjmuje tron albański: „Pożyczcie, skoro chcecie żebym czegoś w owej krainie dokonał..."

Głos wołającego na puszczy został wreszcie w cząstce wysłuchany i dano... obietnicę użyczenia zaliczki na rzecz przyszłej zapomogi. Rozumie się, nie dla pięknych oczu ks. Wieda trochę złota kapnie do Albanji, gwarancje będą na cłach, eksploatacji kolei, różnych intratnych przedsiębiorstwach, jednem słowem hypoteka należycie zapewniona.

Albanja dziś z jej wszystkimi



PAWEŁ DÉROULÈDE, zmarły patrjota i poeta francuski, — patrz str. 21.



Ś. p. WŁADYSŁAW GROSSE, zasłużony obywatel i przemysłowiec, ofiarodawca 20.000 rb. na stypendja szkolne, — patrz str. 22.



Ś. p. ks. STANISŁAW CZAPLIŃSKI, prałat katedry płockiej i kolegjaty pułtuskiej, — patrz str. 22.

rządami to pozornie istna krotochwila polityczna, w gruncie rzeczy jednak to dramat nieszczęsnego narodu, który cierpiał pod jarzmem baszów tureckich, łupiących ludność ze skóry i urządzających rzezie pod protektoratem Porty ottomańskiej, to smutna tragedja narodu, którego byt i los zależny jest i obecnie od zgrai wywłaszczycieli, pragnących jaknajwięcej ryb nałowić w mętnej wodzie. A choćby nawet intencje ks. Wieda były najszczersze, choćby nawet uznał Albanję za nową swoją ojczyznę, choćby nawet naród ojcowską miłością otoczył, nie wiadomo doprawdy, czy mógłby, jako głowa wątłego państewka przeciwstawić się skutecznie... względom politycznym drapieżnej Europy. Prawo *force majeure* i dla niego zapewne będzie obowiązującem.

Szczęśliwa do dziś para książęca bodaj czy tego szczęścia dozna na tronie. Księżna Wied ożywiona jest temiż samemi uczuciami co i jej małżonek i nie cofa się przed niebezpieczeństwem przyszłego panowania. Dziś gdy na tę parę patrzymy, zanim na tronie zasiądzie, przypomina nam się piękna bajka Staffa o królu Wartogłowie i Złotowłosej królowej, którzy byli szczęśliwi, że „żadnego królestwa nie mieli...“

VARIA.

Nowy Rok w Japonji.

Japończycy obchodzą Nowy Rok szeregiem świąt, o których wychodzący po angielsku w Tokio *Japan Magazine* przynosi nam ciekawe szczegóły.

Święta zaczyna t. zw. *susuhaki*, co znaczy dosłownie „oczyszczanie domu“. W dniu tym wszyscy japończycy, bez względu na sferę do jakiej należą, urządzają, mówiąc po naszemu, „porządki przedświąteczne“, jeno — gruntowniejsze od naszych. Meble, posągi bóstw, łoża, statki kuchenne — wszystko wynosi się na ulicę, nawet podłogi ruchome i przepierzenia cienkich ścian japońskich domów.

Dzień taki nie jest wskazany dla turysty do zwiedzania miasta jopońskiego, gdyż atmosfera przesycona jest oczywiście kurzem. Odwieczny obyczaj od niedawna dopiero podlega reglamentacji policji, która nakazuje wszystkim mieszkańcom urządzać *susuhaki* jednego dnia. Nawet kupcy przystępują do oczyszczania sklepów i składów, i czynność ta nazywa się u nich *osoji* czyli „wielkie odkurzanie“.

Po tym dniu, poświęconym hygienie, japończycy święcą *kamado-harai*, święto pieców. *Kamado* jest to nazwa piecyka, na którym gotuje się ryż i inne pokarmy w rodzinie japońskiej; uważany jest za przedmiot poświęcony, którym opiekuje się specjalne bóstwo. W ostatnich dniach roku bóstwo to z ziemi wznosi się w niebiosa, by złożyć raport naczelnemu bóstwu o sprawowaniu całorocznem rodziny, nad którą miało pieczę. By zapewnić sobie życzliwość boskiego wysłańca, rodzina zanosi doń modły przez kapłanów, zaproszonych do stołu.

Lecz święto to w wielkich miastach Japonji nie jest już obserwowane tak powszechnie jak dawniej, od czasu wprowadzenia w użycie... piecyków gazowych! Japończyk nieskory jest uwierzyć, by bóstwo pieca przodków chciało opiekować się przedmiotem tak nowoczesnym, w dodatku fabrykacji cudzoziemskiej.

Potem następuje uroczystość *Wakamegari-no-Chinji*, w ostatnim dniu roku. Pobożni odbywają pielgrzymkę do świątyni w Hayahito, na Chimonoseki. Jest to jeden z naistarszych chramów archipelagu; w najdawniejszych kronikach są o nim wzmianki. W dzień uroczystości szyntoiści (*Shinto* — narodowa religja japończyków) w białych szatach schodzą po stopniach, wiodących od świątyni w morze, dokąd według tradycji schody te zagłębiają się bez końca. Powracają z więziami wodorostów morskich, które poświęcają bóstwu świątyni przed rozdaniem ich wiernym.

W sam dzień Nowego Roku japończycy obchodzą święto, zwane *tochi-nochi*. W pobliżu świątyń i kaplic przekupnie urządzają bazary, gdzie sprzedają lampiony i ozdoby służące do dekoracji świątecznej oraz różnorodne przedmioty użytku domowego. Zwyczaj bowiem chce, by rozpocząć rok nowy nowemi utensyljami gospodarskiemi, i prawowita japonka poczytywałaby za ściąganie złego losu na ognisko domowe, gdyby w tym dniu użyła np. do zamiatania starej miotły. Wreszcie następuje *bonenkai*, dzień w którym wszyscy składają sobie, jak u nas, życzenia pomyślnego roku. Dyrektor fabryki lub głowa rodziny sprasza przyjaciół i podwładnych na ucztę, wydaną „dla pożegnania starego roku“. I zebrani piją *saki* dla zapomnienia uraz i nieszczęść minionych.

ZMARLI.

Ś. p. Waldemar Piotr Piwnicki.

Najpoważniejsza instytucja polska, obejmująca wszystkie warstwy ziemiaństwa naszego od możnego magnata aż do małorolnego kolonisty na paromorgowej osadzie, niosąca społeczną swą służbę nietylko karmazynowej szlachcie lecz i skromnym kmiotkom, poniosła w tym czasie dotkliwą stratę przez śmierć prezesa jej Dyrekcji Szczegółowej w Płocku, ś. p. Waldemara Piotra Piwnickiego.

I, zaiste, wyjątkową jednostką na swem odpowiedzialnem stanowisku był ś. p. Piwnicki. Nie czynił nigdy żadnych różnic między stowarzyszonymi rolnikami, każdego z równą uprzejmością przyjął i każdy, możny czy maluczki, mając do niego zawsze wolny dostęp, ze światłej rady i pomocy korzystał przy załatwianiu z instytucją swoich interesów. Jako zwierzchnik sprawiedliwy i dobry, kierujący się zawsze głosem własnego sumienia i najgłębszem przekonaniem w sądzie o danej sprawie, zasłużył sobie ś. p. Piwnicki na prawdziwą miłość i szacunek kolegów i podwładnych, bowiem żadne poboczne i stronne wpływy nie miały do niego dostępu i nigdy nie były w stanie zachwiać w nim poczucia sprawiedliwości; przytem, jako światły obywatel i kierownik Dyrekcji, z rzadką gorliwością interesował się sprawami Tow. Kr. Ziemsk. i z rzadkiem poświęceniem niósł pracę swą społeczeństwu, które obdarzyło go zasłużonem ze wszech miar zaufaniem; należy zaznaczyć, że wiele paragrafów w ustawie T-wa zmieniono lub poprawiono na lepsze dla stowarzyszonych, podług jego wskazań i projektów.

Ś. p. Piwnicki był wychowańcem b. Szkoły Głównej, którą ukończył ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych. Po ukończeniu studjów osiadł na roli w rodzinnym majątku Gilinie w ziemi Płockiej.

Wkrótce zwrócił na siebie uwagę tamtejszych ziemian, którzy w stosunkowo młodym wieku powołali go na stanawisko radcy T. K. Z, godność zaś prezesa piastował w ciągu przeszło 25 lat, aż do chwili gdy śmierć przecięła pasmo pracowitego jego żywota.

Zgasł w 71 roku życia, pozostawiając po sobie w społeczeństwie pamięć człowieka nieposzlakowanej prawości i szlachetności charakteru, wielkich zalet serca i umysłu.

Osierocił żonę Walerję z Rutkowskich oraz dwie córki—Józefę za Czaplickim z Krubic i niezamężną Julję.

Paweł Déroulède.

Ze zmarłym przed dwoma tygodniami w Nizzy Pawłem Déroulède'm zniknęła z widowni życia politycznego we Francji jedna z najcharakterystyczniejszych postaci. Nazwisko jego było przez długie lata dla współziomków symbolem gorącego, fanatycznego wprost patryotyzmu, który nie mogąc przeboleć nigdy utraty Alzacji i Lotaryngji, manifestował niezmordowanie swą wiarę w odwet słynnem hasłem *Quand même!* Co roku, o ile nie był na wygnaniu, w dniu święta Republiki, 14 lipca na czele *Ligi Patryotów* składał wieniec przewiązany krepą na statui Strasburga przy paryskim Placu Zgody, przypominając ziomkom o obowiązku „odwetu“. Te sfery społeczeństwa francuskiego, które we współzawodnictwie ekonomicznem widzą racjonalny sposób walki z sąsiadem ze wschodu i wojnę z nim uważają za ryzykowną awanturę zgoła nie na dobie, poczytywały Déroulède,a dziś za nieszkodliwego manjaka, a dawniej za warchoła, pamiętając rolę, jaką odegrał w *bulanżyznie*. Pewna groteskowość i teatralność występów publicznych jest jednak cechą temperamentu francuskiego i zasłania często istotną głębokość uczuć i namiętne przywiązanie do wielkiej sprawy.

Zwolennicy zmarłego patrjoty czczą z nim budziciela „sumienia francuskiego“; znany pisarz, Henryk Lavedan w gorącem wspomnieniu pośmiertnem mówi, iż ideałem całego życia Déroulède'a było „wystawiać nieustannie w fałdach trójkolorowego sztandaru uszkodzony wizerunek Ojczyzny, jako „Notre-Dame de la Revanche“. Tym trójkolorowym sztandarem okryto zwłoki patryoty na śmiertelnem łożu, a w czasie pogrzebu w Paryżu kondukt przedefilował przed posągiem Strasburga: hołd słuszny i zasłużony piastunowi idei Francji całkowitej, niepodzielnej.

Urodził się Paweł Déroulède w Paryżu w r. 1846. Jako młodzieniec, siostrzan znanego pisarza dram., Emila Augiera, rwał się do teatru i w 23-m roku życia widział pierwszy swój utwór na scenie. Wybuchła wojna z Prusami,

która zadecydowała o całem życiu i kierunku myśl młodego obrońcy ojczyzny. Wraz z młodszym bratem Andrzejem bił się pod Sedanem, gdzie Andrzej został ranny. Wzięty do niewoli i internowany we Wrocławiu, uciekł, by walczyć dalej nad Loarą, w armji wschodniej, wreszcie w Paryżu, jako przeciwnik Komuny. Ranny, odznaczony został krzyżem. Ze wspomnień wojny powstały dwa popularne zbiory poezji: *Chants du soldat* i *Nouveaux Chants du soldat*. Rzuciwszy się w wir życia politycznego, założył w r. 1882 głośną udziałem swym w ruchu *Bulanżystów* „Ligę Patrjotów". W r. 1889 obrany został deputowanym w Angoulème. Namiętny temperament pchnął go do nieudałego zamachu stanu po pogrzebie Feliksa Faure'a. Uniewinniony przez sąd przysięgłych, stanął powtórnie przed trybunałem, tym razem najwyższym (Haute Cour) za spisek przeciwpaństwowy w r. 1899. Skazany na dziesięcioletnią banicję, po amnestji powrócił do kraju i ostatnie lata życia spędził już spokojnie, nie przestając jednak agitować w imię umiłowanej sprawy, której z odwagą i poświęceniem całe życie wiernie służył, składając dowody niezwykłego hartu woli i charakteru.

Ś. p. Władysław Grossé.

Zmarł jeden z nielicznych już ostatnich wychowańców szkoły polskiej agronomicznej w Marymoncie ś. p. Władysław Grossé, obywatel ziemski i b. dyrektor akc. Tow. Wojciechów. Zasłużony obywatel kraju pomyślał o utworzeniu stypedjum dla młodzieży kształcącej się na polu technicznem, zapisując na ten cel 20000 rubli.

Ś. p. Ks. prałat Czapliński.

W 94 roku życia zmarł jeden z najstarszych zasłużonych kapłanów djecezji płockiej, prałat kapituły płockiej i kol. pułtuskiej, ś. p. ks. Stanisław Czapliński, przez 70 lat niestrudzenie sprawujący służby kapłańskie. Urodzony w r. 1820 w Janowie lubelskim, zmarły otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1843, przez ostatnie czterdzieści lat był proboszczem w Przasnyszu i dziekanem tegoż dekanatu, po przejściu różnych stopni hierarchji kościelnej otrzymał godność prałata i wybrany został na delegata djecezji płockiej do kolegjum do spraw kościołów rzymsko-katolickich w Petersburgu.

NOTATNIK.

Rolnictwo, przemysł i gosp. domowe.

☐ Zarząd główny do spraw rolnictwa zarejestrował w r. z. 396 kółek rolniczych. Ogólna ilość kółek roln. w państwie wynosi 1361, z czego na Królestwo Polskie i gub. nadbałtyckie wypada 80% ogólnej liczby.

☐ W Mokotowie otwartą zostaje szkoła gospodarstwa domowego z 10-miesięcznym kursem, przeznaczona nietylko dla dziewcząt wiejskich lecz również i dla miejskich. Wykłady obejmują: nauki przyrodnicze, hygjenę i lecznictwo (pielęgniarstwo), ogrodnictwo i warzywnictwo, przetwory z warzyw i owoców, mleczarstwo, prowadzenie książek rachunkowych gospodarstwa domowego, praktyczne zajęcia w ogrodzie, gotowanie, pranie, prasowanie, szycie, krój, porządki domowe. Opłata za cały kurs nauki, bez życia i mieszkania wynosić będzie rb. 20. Zapisywać się można w Schronisku Dzieci Marji (Mokotów, Rakowiecka 7).

Muzyka, teatr i sztuki plastyczne.

☐ Debiutantką, która wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród sfer muzykalnych, była w b. m. w naszej Operze Elżbieta hr. Krasińska, występująca pod pseudonimem Korwinówny. Debiut uczennicy Bellincioni powiódł się w zupełności, role — Santuzzy w „Rycerskości" i Neddy w „Pajacach", miały w p. Korwinównie świetną odtwórczynię. Dźwięczny srebrzysty głos o obszernej skali, jak również gra, znamionująca sceniczne opanowanie roli, dały szereg wysoce artystycznych momentów, za co podziękowano p. Korwinównie gorącymi oklaskami.

☐ W dn. 11 lutego Tow. Muzyczne urządziło koncert nadzwyczajny ku uczczeniu dziewiątej rocznicy śmierci Mieczysława Karłowicza. Orkiestra symfoniczna Filharmonji pięknie wykonała pod znakomitą dyrekcją Fitelberga wspaniały poemat symfoniczny „Odwieczne pieśni" oraz „Epizod na maskaradzie", ostatni przedśmiertny utwór przedwcześnie zgasłego kompozytora, dokończony i instrumentowany przez Fitelberga. Józef Oziminski świetnie odegrał koncert skrzypcowy Karłowicza, wykazując doskonałą technikę, uczucie i ton głęboki.

☐ Na benefisowe swoje przedstawienie w teatrze Wielkim, 11 lutego wybrał Frenkiel „Świętoszka" Moljera, w świetnym przekładzie Żeleńskiego (Boya). Znakomity artysta nieporównanie odtworzył tytułową rolę, dając kreację w wielkim stylu, wywołał też rzadki entuzjazm publiczności, która do ostatniego miejsca zapełniła widownię a po jednym z aktów przez 24 minuty oklaskiwała bez przerwy niepospolitego artystę-benefisanta.

☐ Teatr Nowoczesny, sięgnąwszy do repertuaru klasycznego: dał nam na swej scenie prawdziwą perełkę, jednoaktową operę kom. Glucka „Oszukany Kadi". I mniej zadziwia że początkujący teatr odważył się na to, niż to, że znalazł tak świetnych odtwórców szczególniej w rolach kobiecych: Kamińska-Latoszyńska (Zelmira) i Jarosz (Fatyma) a i role męskie (p.p. Rydzewski i Szerszyński) wypadły nader udatnie. Za zwrócenie się do szlachetnego skarbca twórczości wielkiego kompozytora należy się dyrekcji Teatru Nowoczesnego prawdziwe uznanie. Mile wypadły „Krakowiaki" z melodyjną muzyką Rogowskiego i w pięknej inscenizacji Dienstla, natomiast farsa Gryfa „Korepetytor", dając szereg płytkich efektów i galerję przejaskrawionych karykaturalnych kopji z „Moralności pani Dulskiej" odbiegała od poziomu całości przedstawienia, niemniej jednak publiczność przyjęła sztuczkę oklaskiem.

☐ W Tow. Zachęty Sztuk Pięknych otwarto wystawę grafiki polskiej, która przedstawia się nader interesująco, zgromadziwszy przeszło 400 prac współczesnych artystów. O wystawie pomówimy obszerniej w następnym numerze. Konkurs im. Henryka Grohmana, związany z wystawą grafiki, dał wynik następujący: w dziale akwafort nagrodę I przyznano p. Z. Stankiewiczównie, II — p. K. Mądrali, III — p. W. Porankiewiczowi; w dziale drzeworytów przyznano jedynie tylko I nagrodę p. Skoczylasowi, zaś w dziale litografji I nagrodę — p. J. Tomowi i II — p. Gumowskiemu. Nadto poza konkursem wyróżniono prace pp. Połtawskiego i Korzeniowskiej.

Ofiarność publiczna.

☐ Wybitny obywatel i filantrop, Michał hr. Sobański, ofiarował na rzecz kursów przemysłowo-rolniczych przy muzeum rolnictwa i przemysłu, w celu kupna doświadczalnego folwarku, z górą 100.000 rb. Jako najbardziej odpowiadające przeznaczeniu, jak również warunkom kupna, uznano dobra Chylice pod Grodziskiem, które też z funduszu szlachetnego ofiarodawcy zostają nabyte. Własna ferma wpłynie niewątpliwie nad wyraz korzystnie na rozwój tej tak pożytecznej uczelni.

Bez wag i miary.

— Bochnia! Tarnów! Lwów! Podwołoczyska!— ozwał się stentorowy głos wywoływacza i pierwszy sygnał odejścia sznelcugu.

Podróżni ruszyli ku drzwiom peronowym. Jednocześnie w poczekalni pierwszej klasy poderwała się z krzeseł cała gromadka pań, młodzieży, dzieci i służby.

Na czele szła młoda kobieta o rysach wybitnie arystokratycznych, w wązkim, letnim płaszczu, z przewieszoną przez ramię torebką. Zerwali się dwaj uczniowie i ładny podlotek, pomagając wyjść małej Misi i młodszemu Gigi, którzy objuczeni lalkami i zabawkami, plątali się wśród starszych.

Guwernantka francuzka, panna służąca Andzia i korepetytor szli za młodzieżą, niosąc szale, torebki, parasole, płaszczyki.

Ozwały się nawoływania:

— Marichette! attention!.. Gigi, uważaj, bo upadniesz!.. Andzia, czy masz parasol mamusi?!..

Odpowiadały głosy i głosiki, potrącano się, całowano i szła cała gromadka, biegła po schodach podziemnego przejścia, by się wydostać na peron.

Tu pani szybko weszła do przedziału, tragarze jęli znosić pakunki (a była ich moc niesłychana). Pani wzrokiem liczyła sztuki, pytała o inne, kontrolowała wszystko. Wybrała miejsca i zaczęła wprowadzać dzieci. Odrazu zrobiło się gwarno w przedziale. Staś przekomarzał się z tragarzem, żeby jego dubeltówki nie kładł na siatkę, bo chciał się cieszyć nowym nabytkiem, dzierżąc go w ręku. Gigi nie chciał siedzieć, bo rwał się do okna. Misia, roztropna i śliczna, strofowała braciszka:

— Gigi! nie przechylaj się w oknie, siedź tu, to zobaczysz Grzesia! O! patrz, już idzie!..

— Grzesiu! — zaczął wołać Gigi i wychylił się połową ciała przez okno wagonu. Misia trzymała go zręcznie pod paszki.

Pani biegała po korytarzu, na wszystko uważna, krótkie wydając rozkazy:

— Mademoiselle! veillez sur le petit!.. Andziu, zostaw te pledy, a pamiętaj wysiąść we Lwowie, masz tu bilet trzeciej... siądź w damskim przedziale, rozumiesz?.. Koniecznie w damskim!..

Ozwał się drugi dzwonek—dzieci podniosły gwar:

— Grzesiu!.. Nianiusiu!.. Józiu!..

— Cicho! cicho!.. — strofowała francuzka. — Grześ i Nianiusia stoją przy oknie.

Dzieci frunęły wszystkie — zajęły całą ramę okienną.

Przy stopniach wagonu ustawili się rzędem: Józef lokajczyk, Grześ szofer i niania Misi. Józef, gruby i czerwony, jak pomidor, o nosie zadartym, w liberji granatowej i względnej czystości kołnierzyku, dobremi i głupiemi oczyma patrzał w głąb wagonu. Przy nim stał szofer Grześ, ogolony, w kurtce skórzanej, prosty, sztywny, urobiony na anglika. O krok przed nimi, jako mająca niezaprzeczone prawo do pierwszeństwa, stała gruba, pomarszczona, ale z młodo śmiejącemi się oczyma, typowa niania szlacheckich dworów, ukochana, nieoceniona wychowawczyni sześciorga pociech hrabiny Słuckiej, ostatnio — niania najmłodszego Gigi.

— Nianiusiu, Nianiusiu!.. — wołała Misia — a niech Niania pamięta o Kokusiu! Niech niania go w nosek pocałuje odemnie!..

— I odemnie także!.. koniecznie, Nianiu! — wołał mały Gigi.

— Dobrze, Misiu! Dobrze, mój Gigosiu, pocałuję, pocałuję!.. — odpowiadała niania.

Wychyliła się pani po nad głowy dzieci i spytała:

— Józefie, a czy masz kluczyki od żółtej walizki?

— Kluczyki?.. nie, proszę pani hrabiny, oddałem je pannie Zosiuni.

— Zosiu, czy je masz? — spytała dwunastoletniej dziewczynki hrabina.

— Nie mam, mamusiu, wzięła je Andzia.

— To dobrze — odrzekła pani.

— Nianiusiu, Nianiusiu! a pamiętaj o kotkach!..

— Dobrze, dobrze! — odrzekła niania.

— I o gołąbkach!

— A jakże, aniołku, będę, będę pamiętała...

Józef patrzał, nic nie mówiąc, ciągle w głąb wagonu. Grześ oglądał się w prawo i w lewo i wracał wzrokiem do gromadki w oknie, tylko niania, niczem innem nie zajęta, tylko swymi małymi wychowańcami, wzrokiem rozczulonym gładziła ich główki, pieściła ich rączki.

* * *

Na uboczu, oparta o filar, stała niemłoda już kobieta, o bladej, zawiędłej twarzy i patrzała, słuchała, obserwowała ruchy tej gromadki.

Nic uwagi panny Laury nie uszło. Od chwili, gdy przyszła tutaj, by pożegnać jakąś przejeżdżającą przez Kraków znajomą, zwróciła jej uwagę ta rodzina tak liczna, tak dziwnie patryarchalna, tak typowo polska.

Patrzała i jakaś chmura bezmiernego smutku siadła na jej czole. Postanowiła nie odejść, póki pociąg nie ruszy.

Dlaczego?..

Dotąd nigdy nie zwracała uwagi na to, co się dokoła niej działo. Bo poco?..

A dziś!..

Ale właśnie ozwał się trzeci i ostatni dzwonek. Pociąg miał ruszyć za chwilę.

I właśnie kiedy przebrzmiał sygnał i konduktorowie jęli zatrzaskiwać drzwiczki wagonów, w przedziale pani Słuckiej powstał gwar ogromny. Dzieci wszystkie naraz jęły wołać w oknie:

— Dowidzenia! Dowidzenia! Grzesiu!.. Józiu!.. Nianiusiu!.. Dowidzenia... Do...

Pociąg się zatrząsł a jednocześnie, jakby na ten sygnał czekając, Józef i Niania ryknęli płaczem. Niania już przedtem w pogotowiu trzymała chusteczkę i ani na moment się nie spóźniła. Buchnęła szczerym, niewstrzymanym bekiem.

Józef sekundował przykładnie. Tylko anglik Grześ nos obtarł gwałtownie ogromną kraciastą chustą, miał nos trochę czerwony, ale nie płakał.

Już pociąg wyprężył łańcuchy, już gwizdnął, zionął parą pod nogi stojących, sapnął raz, drugi i trzeci i zwolna wagony jeden po drugim jęły się usuwać z oczu patrzących, niknąć coraz szybciej, coraz gwałtowniej, aż wreszcie sznur ich wypadł z pod arkad i zaczął maleć, ginąć, aż zniknął...

Stojąc na miejscu, Niania i Józef słali rękoma wciąż pozdrowienia, a szofer Grześ nos swój obcierał.

Wtedy panna Laura zwróciła się do starej piastunki:

— Kto to wyjeżdżał, jeśli wolno spytać?

— Pani hrabina, nasza kochanieńka... Pani hrabina.

— A jak nazwisko?

— Hrabina Słucka — odpowiedział szofer.

— A dokąd jedzie?

— Do majątku, za Lwów.

— Na zawsze?

— Uchowaj Boże! Coby?.. wraca pod jesień.

— A, tak?.. dziękuję... — skłoniła mu głową i poszła ku wyjściu.

Szła machinalnie, automatycznie i skierowała się w stronę miasta.

— Co się ze mną dzieje? — spytała siebie panna Laura, gdy wyszedłszy na Plantacje, przysiadła na ławce, aby zebrać myśli.

— Co się to stało?.. Co ja odczułam?..

Przetarła ręką czoło blade, żółte, przekreślone dwiema głębokiemi, prostopadłemi zmarszczkami.

— Czy ja zazdroszczę? czy mnie to zabolało?..

Ona, która od tylu, tylu lat samotni, znoszonej dotąd cicho i cierpliwie, nigdy wybuchu buntu nie doznała, dzisiaj, na widok gromadki ludzi, związanych węzłami patryarchalnej, miłości, czuła jakiś ból dotkliwy, zły, mocny, jak zbrodnia. Jakaś żółci pełna nienawiść i złość zerwała się nagle w jej sercu, jak burza...

Obrzydliwe uczucie zazdrości, pogardy, wstrętu obudził w niej ten widok.

— Jacy oni ogromnie szczęśliwi!.. — pomyślała była, widząc ich pożegnanie, łzy tych sług, pieszczoty dzieci, posyłane tej niani...

— Jacy szczęśliwi! jak się kochają!.. A ja?.. Ja, wieczyście sama!.. sama!.. sama!..

Znała niegdyś to życie szlacheckiego dworu, znała taki stosunek panów do służby, wszystko to znała... tam!... kiedyś!... dawniej!...

— I gdzie się to wszystko podziało?..

Od szesnastego roku życia stała się jak puhacz na pustkowiu, jak rozbitek strzaskanej łodzi. Wieczyście sama...

— Ależ ja jestem potwornie zła! — zawołała w myśli, uderzając się w czoło. — Ja zawidzę... zawidzę tym ludziom... ja, która nigdy, nigdy tego nie doznałam — potworna jestem... Tu ich żegnano, tam ich powitają... — wracała myśl uparta. — Tak!.. ja zazdroszczę szczęścia tym ludziom, zazazdroszczę im tego, że są czemś blizkiem i drogiem sobie... Potworna jestem! — mówiła do siebie panna Laura.

Naraz z wieży Marjackiej ozwał się zegar; była godzina, o której zawsze wracała do siebie, więc się zerwała, by pójść do domu.

— Trzeba dać jeść Kubusiowi — przemknęło jej przez myśl. — Biedactwo!.. to po raz pierwszy zapomniałam o nim.

I szła szybkim krokiem na ulicę Szpitalną. Otwarła kluczem drzwi wejściowe i znalazła się

w schludnych, ładnych dwóch pokoikach, które od lat wielu były jej mieszkankiem. Było tu czysto, pachnąco, miło. Już od progu doszło ją ćwierkanie i trzepotanie skrzydeł kanarka.

— Kubuś, Kubuś!.. — zawołała od progu. — Kubuś, najdroższa ptaszyno!..

Kanarek wskoczył na pręcik i mizdrzył się do niej. Wsypała mu siemienia, zmieniła wodę, a gdy się posilił, wzięła go do ręki i przytuliła do ust. Ptaszę jęło ją lekko dziobkiem całować.

— Kubuś mój, najmilszy!.. — I nagle przerwała. — Co to jest?.. co się ze mną działo? — pomyślała Laura. — Jakież ja przykre przeżyłam dziś chwile!.. — i nagle, jakby mgła gęsta rozdarła się przed nią, spojrzała jasno w swe serce.

— Toć i ja kocham. Toć i ja mam kogoś, co tu na mnie czeka, komu jestem potrzebną, konieczną do bytu i życia... To ptak, drobiazg, kruszyna, ale ja dla tego maleństwa jestem wszystkiem... A o cóż chodzi?.. Czem jest samotność serca? potrzeba kochania?..

A głos wewnętrzny sądził ją wyraźnie, donośnie, jak głos drugiej osoby.

— Nie chodzi przecie o to człowiekowi, kiedy jest głodny, aby zjadł dużo bochenków chleba, chodzi mu, by głód zaspokoił, by miał tyle, ile zjeść trzeba, aby się nasycić; niekiedy kąsek głód zaspokoi. Z potrzebą serca jest chyba tak samo. Mała, maleńka szczypta czułości i serce małe, jak u tego ptaka, musi, powinno mój głód kochania nasycić!.. i nasyci z pewnością. A zatem?.. Nie, nie!.. Na to niema żadnych wag ani miary... Panią Słucką kochają dzieci, których ma sześcioro... kochają słudzy, mąż może, a mnie?.. kocha ten ptaszek, ten mizerak mały, biedniutki... i to starczyć mi musi, i starczy!..

Stała długo przy klatce, podlewała kwiatki, zeschłe liście obrała, a potem myślała jeszcze, czy w razie gdyby zbrakło Kubusia, nie zastąpić go innym jakim mizerakiem, jakąś pokrzywdzoną przez losy istotą o człowieczem sercu?..

— Kto wie? kto wie?.. — pomyślała Laura i jakoś zwolna łzy płynąć przestały i zrobiło jej się jakoś lżej na duszy...

A Kubuś śpiewał — bo świeciło słońce...

Ida Pilecka.

Z LITERATURY.

„Na kresach i za kresami“. Wspomnienia i szkice przez Marjana Dubieckiego. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie. 1914.

Pamiątki polskiej świetności i chwały pozbierał skrzętnie p. Marjan Dubiecki na kresach i za kresami Rzeczypospolitej. Na początku książki znajdujemy opis „Starego dworu na Wołyniu“, zamieszkałego jeszcze w r. 1845 przez matronę, która „dziecięcemi laty swemi sięgała dni ostatniego z Sasów, a prawdopodobnie znała takich, co patrzyli na ostatnią wojnę szwedzką i znikający zmierzch Sobieskiego epoki“. Na ślubnym pierścieniu staruszki widniała data A. D. 1777. Małżonek sędziwej pani należał całkowicie do XVIII wieku, żył zaś na modłę czasów odleglejszych jeszcze jako dziedzic i pan samowładny maleńkiego gródka na kresach. Przy nieustannych biesiadach dwudziestu drabantów załogi zamkowej paliło na wiwat z odwiecznych moździeży. Wino lało się jak za dobrych saskich czasów w owej wołyńskiej Werbie... Lecz na schyłku życia wyczerpały libacje hartowne zdrowie pana podstolego. Przyszło wyruszyć na kurację do Karlsbadu, naturalnie z ciżbą sług, kuchmistrzem i pod eskordą owych dwudziestu zbrojnych. Gdy mimo leczniczych zabiegów nie uniknął podstoli rychłej śmierci, młoda wdowa natychmiast wzięła rozbrat z archaiczną pompą miniaturowego dworu i po odprawieniu służby i załogi osiadła na małej wioszczynie. Wkrótce dzięki niezmordowanej pracy i rządności stała się błogosławieństwem dla okolicy i ostoją dla niezliczonych krewnych. P. Marjan Dubiecki zapamiętał z dzieciństwa wyniosłą postać sto czteroletniej prababki, będącej żywem ogniwem tradycji kilku pokoleń.

Do najdawniejszych wspomnień autora należy również „Konfederat“. Piękny tytuł zapowiada jakoby napewno któregoś z „rycerzy Maryi“, jednego z tych, co to śpiewali: „...Nigdy z królami nie będziem w aliansach, ani przed mocą nie ugniemy szyi — bo u Chrystusa my na ordynansach — słudzy Maryi“. Przyzwyczajeni przecież jesteśmy, że konfederat to znaczy — Barszczanin... Złowróżbnym, jak świst Janklowej struny, akordem w toku pogodnego opowiadania uderza w nas wspomnienie — Targowiczanina. W dziecięcej pamięci p. Dubieckiego wyryły się zdania owego „konfederata“, te same w 1847 roku, co i za czasów Szczęsnego... „To szczęście, iż nas zabrała wielka monarchini. Co za spokój dokoła. Niema najazdów tatarskich, w jassyr nas nie pędzą...“ Jakże to przypomina ustępy z „Zofijówki“ Trembeckiego... Aż do połowy XIX stulecia przechowali się na kresach owi bezrozumni anachroniści...

Z prawdziwą ulgą po tym krótkim a wymownym obrazku przechodzi się do następnego szkicu. „Gniazdo Reytana“, pełne śladów wielkiego patryjoty, opisane jest z dużą plastyką. Wątku do wspomnień o życiu codziennem Tadeusza Reytana dostarczyły opowiadania pani Gieryczowej, bratanicy posła. Nieocenione dyaryusze sejmowe przechowywały się długo w gnieździe Reytanów — Hruszówce pod strażą podkomorzyca Stanisława Reytana. Kopje tych ważnych doku-

mentów posiadał niegdyś J. Ursyn Niemcewicz, który zamierzał opisać żywot Reytana. Spuścizna po Niemcewiczu zaginęła. O losach oryginałów nikt nie wie. Dotychczas uważać trzeba za straconą jedną z najpiękniejszych pamiątek narodowych...

Historja Żytomierza przewija się w dalszych kilku szkicach. Zabór i zniszczenie pamiątek polskich, których napróżno bronili J. I. Kraszewski, hrabia Broel-Plater i pan Chamiec, dokonał się niemal w oczach autora „Kresów".

Po oględzinach „Polskich pamiątek w Charkowie", opowiada nam p. Dubiecki historję możnego niegdyś kresowego rodu Sieniutów, który wygasł po kilku wiekach pełnego sławy bytowania w połowie XIX stulecia.

Szkice zebrane „Na kresach i za kresami" przynoszą wiele cennych obrazów z minionych dni, pokrytych patyną przeszłości. Wielkie umiłowanie ojczyzny wieje z kart książki o życiu schodzących w grób pokoleń. P. Dubiecki posiada styl pokrewny Abgarowi Sołtanowi, lecz pełen nawskroś oryginalnych właściwości i zalet. Talent narracyjny autora sprawia, że studja bądź co bądź historyczne czyta się jednym tchem, jak ciekawą powieść.

S. M.

Nowości wydawnicze.

Jerzy Żuławski: *Przed zwierciadłem prawdy.* Szkice filozoficzne. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa, 1914.

Tadeusz Nalepiński: *Śpiewnik rozdarty.* Nowele. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Warszawa, 1914.

Jan Łada: *Mag.* Powieść z ostatnich lat panowania Zygmunta III. 2 tomy. Nakład księgarni Leona Idzikowskiego w Kijowie. 1914.

Wacław Szelążek: *Kłosy i Kąkole.* Poezje. Warszawa, 1914. Gebethner i Wolff.

Ludwik Anezy: *Wizje przeszłości.* Petersburg. Czcionkami Drukarni Artyst. 1913.

Pamiętnik Teatru Polskiego. Rok I. Warszawa. 1914. Nakład Dyrekcji Teatru Polskiego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Z czasopism.

* Podręczniki do nauki języków obcych poza gramatyką i najprostszemi ćwiczeniami mało zazwyczaj zawierają materjału interesującego dla zaawansowanych już nieco uczniów, takiego, któryby oprócz korzyści językowych przyniósłby treścią swą rozrywkę i zachętę do dalszej pracy. Potrzebie tej od paru lat stara się zadość uczynić wydawnictwo perjodyczne, wychodzące nakładem księgarni M. Borkowskiego, pod kierunkiem literackim znanej specjalistki na polu filologji i nauki języków obcych, p. Natalji Osterloff. Wydawnictwo to dzieli się na dwa oddzielne „czasopisma ilustrowane dla czytelników polskich": niemieckie *Zur Lust und Lehre* i francuskie *Journal instructif et amusant.* Każdy zeszyt zawiera tekst wyłącznie w jednym z tych dwóch języków: ilustrowane humoreski, żarty, opowiadania, powiastki, bez balastu „ćwiczeniowego" składają się na całość lekką, interesującą, na swego rodzaju wypoczynek dla ucznia po trudnościach zdobywania podstaw języka cudzoziemskiego. Uwzględniając stopniowe przyswajanie sobie przez uczniów coraz większej ilości słów obcych, redakcja rozpoczyna każdy zeszyt krótkim humorystycznym dyalogiem, złożonym z wyrazów jeszcze nieznanych, objaśnionych słowniczkiem pod tekstem. Po kilku tej kategorji utworach następują rzeczy nieco dłuższe, gdzie czytelnik spotyka znane już sobie wyrazy, a nowe mają w odsyłaczach wyczerpujące tłumaczenie na polski, z podaniem szeregu znaczeń danego wyrazu francuskiego czy niemieckiego.

W ten zajmujący umysł sposób uczeń powiększa łatwo swój słownik, bez męczącej konieczności wykuwania na pamięć „słówek" — bezmyślnego systemu, zarzuconego zupełnie w nowoczesnych metodach nauki języków (np. w metodzie Berlitza). Obydwa pisemka wychodziły dotychczas raz na miesiąc; od nowego roku francuskie przekształciła redakcja na dwutygodnik.

Zur Lust und Lehre i Journal instructif et amusant, wydawane skromnie lecz gustownie, o dostępnej cenie prenumeracyjnej, a co najważniejsze, powierzone pieczy zdolnej i wytrawnej kierowniczki, zadanie swe z zupełnem wypełniają powodzeniem i zasługują na szerokie rozpowszechnienie.

* W zeszycie grudniowym *Sfinksa* poza dalszymi ciągami prac rozpoczętych, znajdujemy: *Zbigniew Brodzki:* Emil Verhaeren (studjum); *Józef Puzyna:* Jak pewien ociec w Polsce był (poemat z motywów ludowych); poezje *Jana Jabłonowskiego:* Cieniom Stanisława Wyspiańskiego, *Walentego Zielińskiego:* Golgota i *Marji Przedborskiej:* U celu; *Jana Lemańskiego:* Starzy i młodzi (zamiast feljetonu) oraz obszerny dział sprawozdań i przeglądów, prowadzony przez: *Jana Kleczyńskiego, dr. Władysława Kłyszewskiego, A. Zabłockiego, Jerzego Bukowińskiego* i innych. Z ozdób artystycznych, rozsianych obficie w miesięczniku, szczególną zwracają uwagę rysunki: St. Wyspiańskiego (plansza dodatku art.) i M. Wawrzenieckiego (na okładce).

SPROSTOWANIE.

W N-rze poprzednim na str. 44, ostatni wiersz 2-ej szpalty, mylnie wydrukowano nazwisko redaktora „Głosu Polskiego", *Kwiatkowskiego.*

NA GRUBEGO ZWIERZA.

Polowanie na niewinne zające lub rogacze jest już dla myśliwego atrakcją i przyjemnością nie do pogardzenia, a cóż dopiero mówić o łowach na grubego zwierza, gdy w kniei tropi się ślady wilków, rysiów, łosi i t. p., gdy stojąc na stanowisku, słyszy się w dali wciąż zbliżające się odgłosy naganki, pędzącej „wytropionego“, gdy lada chwila wysunie się ostrożnie i czujnie z zarośli podejrzliwy wilk lub ryś obłudny, a ujrzawszy myśliwego, ciśnie się jak oszalały przed siebie. Najwytrawniejszy nawet nemrod przechodzi wówczas emocje, choć zimna krew wskazaną jest w takich razach i stanowi najwięcej o celności strzału i wogóle o całem powodzeniu łowów.

U nas w Królestwie już coraz mniej grubego zwierza, wyrąb lasów i wciąż wzrastające zaludnienie, budzący się przemysł i rozwój intensywnie prowadzonych gospodarstw rolnych, oto przyczyny, dla których zwierz szuka sobie dalszych, spokojniejszych miejscowości, gdzie przecież wśród wielkich mało zaludnionych obszarów czuje się bezpieczniejszym i bardziej „u siebie“ w legowisku obranem w kniei głębokiej, pod osłoną szumiących puszcz, które stopa ludzka nie tak często przebiega.



Wilki, zabite w Berezynie. (Fot. Saryusz-Wolski).

Boi się zwierz-poddany człowieka, króla wszelkiego stworzenia, i uzasadniona to obawa, którą potwierdza odwieczna tragedja łowcy i czworonożnych lub skrzydlatych mieszkańców lasu.

Ale dosyć literatury... idźmy w knieję, gdzie wilki, rysie i łosie, gdzie nawet czasem i niedźwiedź się zdarzy.

Jedne z takich właśnie łowów, o których ten i ów „zajęczy“ myśliwy z zazdrością duma, odbyły się u hr. Maurycego Potockiego w borach Berezyny, obejmujących przestrzeń blizko 100,000 morgów. Prócz gospodarza brało udział w łowach dwuch również świetnych myśliwych, hr. Albert Wielopolski i hr. Andrzej Morstin.

Na czas takich łowów trzeba zamieszkać w lesie. Wyjeżdża się więc z pałacu i obiera kilkodniowe locum w jednej z leśniczówek. Gajowi tropią zwierza, myśliwi oczekują „dobrej wiadomości“ w leśniczówce a czas mile schodzi na ożywionej pogawędce i — toastach na rzecz powodzenia łowów.

Po lesie już od świtu wyszukują śladów, obchodząc kilkasetmorgowe knieje, każdy gajowy w swoim rewirze a od wczesnego ranka, bo zwierz tylko w nocy żeruje, wydalając się ze swej kryjówki i myszkując po lesie lub okolicach; nad ranem jednak, gdy jeszcze ciemno, powraca do swego legowiska, żeby odpocząć po trudach nocnej wycieczki. Gdy znalazły się świeże ślady, stwierdzające, że zwierz wszedł do kniei, trzeba się jeszcze przekonać, czy z niej nie wyszedł do innego lasu. Obchodzi więc gajowy ostępy leśne i niech tylko zauważy że ślady z jednego do drugiego lasu prowadzą — dalej tropi w ten sam sposób. Skoro tylko upewnił się o legowisku zwierza, co tchu biegnie do leśniczówki, gdzie myśliwi czekają, a jeżeli „główna kwatera“ myśliwska daleko, to i na koń siada, a pędzi aż dudni po śniegu, bo pilno mu z dobrą wieścią do pana. Ot i leśniczówka, dopadł już i zadyszany woła:



Z łowów w Berezynie u hr. M. Potockiego. (Od lewej ku prawej stronie) Albert hr. Wielopolski, Maurycy hr. Potocki i Andrzej hr. Morstin z myśliwskiemi trofeami.

„Jasny hrabio, wilk w uroczyszczu!“ Jakby prąd elektryczny przebiegł, zrywają się myśliwi, ruch, ożywienie i pośpiech... Żeby tylko zwierza najść w kniei, dopóki się dobrze nie wyspał,



Po obławie w uroczyskach lasów Berezyny.



Maurycy hr. Potocki z upolowanym przez siebie łosiem. (Fotografje wyk. Saryusz-Wolski).

wtedy — oszołomiony i rozespany — łatwiej podejdzie pod myśliwego i prędzej da się upolować. Zajeżdża kilkanaście sań — w jednych sadowią się myśliwi, w drugich oficjaliści i służba leśna, w innych znów naganka, wśród której nietylko widzi się chłopa, lecz i babę, że krzykliwa; znaleźć można i wyrostków, do przedzierania się w kniei jedynych. Pędzi już cały ten „kulig“ ku kniei, gdzie drapieżniki w objęciach... Morfeusza rozkosznie spoczywają.

Przyjechali. Myśliwi stanęli już na czatach w miejscach, gdzie ślady do lasu prowadziły, zwierz bowiem, czując niebezpieczeństwo, zawsze tąż samą drogą, którą wszedł, po własnych śladach powraca. Snadź rozumuje sobie, że skoro wszedł szczęśliwie, to i bezpiecznie tędy wyjdzie. Lecz niezbadane są wyroki losu...

Naganiacze tymczasem od przeciwnej strony obeszli knieję. Słychać już krzyk i huk po lesie. Obudził się zwierz i dalejże, rozglądając się trwożliwie, po własnym tropie uciekać... Dopadł już do stanowisk, gdzie myśliwi czekają... jeden strzał, drugi, trzeci... krwią zaczerwieniły się ślady na białej pościeli śniegu, przebiegł jak pijany, jeszcze kilkanaście kroków, nosem zarył się w puszysty biały kobierzec, którym matka-natura na mrozy dobrotliwie ziemię okryła, i ułożył się tak jakby do „śpiku“, cicho i spokojnie... Przybiegli myśliwi, zeszli się leśni i ludzie z naganki, wojski zagrał na rogu na



Z łowów w Berezynie. Ryś. (Fot. Saryusz-Wolski).

znak zwycięstwa i dobrych łowów a gdy skończył... „wszystkim się zdawało, że wojski wciąż gra jeszcze a to echo grało..."

Podczas kilkodniowych łowów w borach berezyńskich siedem razy przygrywał wojski na znak, że nowe trofeum ma kronika myśliwska w dorobku swym do zanotowania, padło bowiem pięć wilków, jeden ryś i jeden łoś — z których hr. A. Wielopolski zabił 3 wilki, hr. A. Morstin — dwa wilki i rysia i gospodarz, hr. M. Potocki, który gościom najlepsze stanowiska oddawał — jednego łosia.

Był i niedźwiedź w kniei, lecz przed łowami wypłoszył go z lasów Berezyny szalejący huragan, który powywracał drzewa na znacznej przestrzeni, uciekł więc miś dalej ku gub. Smoleńskiej i dziś może sobie powiedzieć a właściwie wymruczyć, że niema tego złego coby na dobre nie wyszło, bo gdyby nie owa trąba powietrzna, możeby i nad nim trąbka wojskiego zagrała, jeżeli chciałoby mu się zmierzyć w Berezynie z tak świetnymi myśliwymi.

Nem Rod.

Z mojego notatnika myśliwskiego.

NIECO O POLOWANIACH NA DRAPIEŻNIKI ZIMĄ.

PRZYGODY Z LISAMI.

W gabinecie jednego z moich znajomych oglądałem prześlicznie, wprost artystycznie wymodelowaną grupę jamników, pod którą na dole zauważyłem napis pomysłowy i pochlebny, brzmiący: *„Prześladowcy lisów—największemu z prześladowców"*.

Poprosiłem o wyjaśnienie tego napisu i za chwilę usłyszałem następującą opowieść:

„Ten cenny bardzo podarek otrzymałem od małego grona wypróbowanych przyjaciół, z którymi nie jedną wesołą chwilę spędziłem w lesie, służąc z zapałem bogini Djanie. A mieliśmy sposobność

polowania w takich rewirach, które gęsto obsadzone były lisami. Wszystkim służyło szczęście, odemnie jednak odwróciło się zupełnie, musiałem też znosić nie jedne kpiny, aż wreszcie przylgnął do mnie przydomek „prześladowcy lisów“.

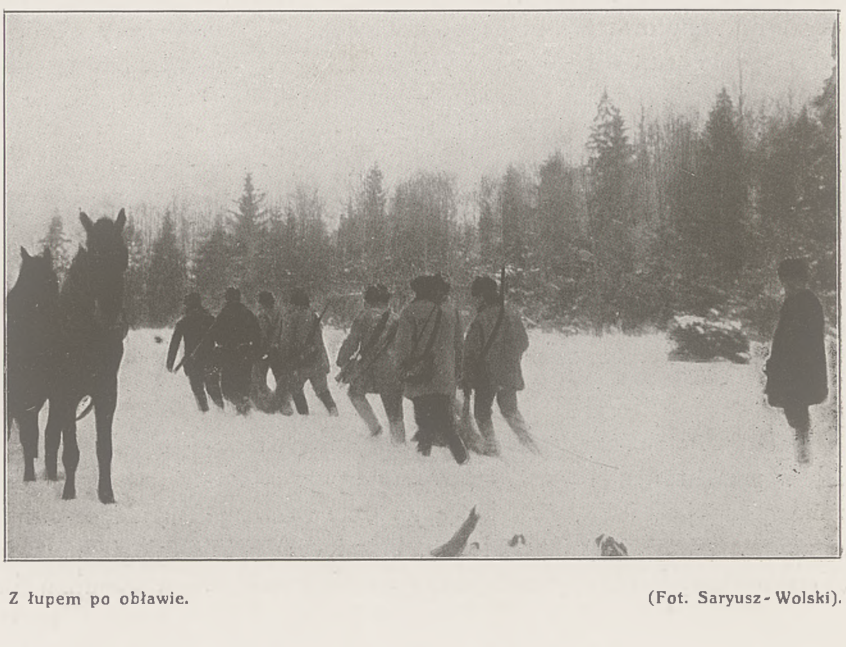
Nie mam bynajmniej zamiaru, ani to zresztą nie leży w naturze mojej, chełpić się swojemi zwycięztwami, skoro pan zatem chce posłyszeć kilka przygód z lisami, rozpocząłem je od opowiedzenia tych żartów ze strony moich kolegów z lat młodzieńczych.



Płeć piękna licznie jest reprezentowana w nagance berezyńskich łowów.

Najulubieńszem miejscem pobytu lisów są zimą nie dające się przejrzeć w całości sitowia i zarośla trzcinowe, które zwykle tworzą się przy brzegach wielkich rzek. Tu właśnie miałem nieraz sposobność zapolować z dobrym skutkiem na chytrego drapieżnika. Dla czego lisy obierają sobie właśnie te miejsca, łatwo sobie wytłumaczyć tem, że na niedostępnych prawie bagniskach czują się one najbezpieczniej, a łupu pożądanego dostarczają im najprzeróżniejsze gatunki ptactwa wodnego. Lis, jak może nie wszystkim wiadomo, jest wśród wszystkich drapieżników może największym smakoszem, jeżeli więc takie bagna leżą w pobliżu zabudowań ludzkich, to od czasu do czasu wymyka się ze swojego ukrycia i wychwytuje lepsze kąski w postaci np. kury i t. p. W naszych mniej więcej uporządkowanych pod względem zwierzostanu rewirach leśnych, przez cały rok można nie upolować tyle lisów, ile ich paść może w ciągu krótkiego czasu nad wodami, jeżeli oczywiście zna się dobrze teren i jeżeli myśliwemu towarzyszą trzy albo cztery doskonale wytresowane jamniki. Zdarzyło mi się w takiem bujnem sitowiu, co wydać się może nieprawdopodobnem, w przeciągu pół godziny ubić cztery lisy, a byłbym położył jeszcze dwa, gdyby nie to, że zmuszony byłem na nowo broń nabijać.

Wykonać dobrą dubletę na lisy — ciągnął dalej mój rozmówca — powiodło mi się w dobrach hr. F. w guberniach Nadbaltyckich. Polowaliśmy wraz z hrabią w rewirze, który z dawien dawna odznaczał się obfitością saren, a była to właśnie ponowa. Ubiłem już szczęśliwie wcale przyzwoitego kozła, gdy w kilka sekund po strzale ujrzałem przelatującego jarząbka; siadł on najspokojniej na drzewie w takiej odległości, jakgdyby czuł, że go tam strzał mój nie dosięgnie i tak był pewny siebie, że pozwolił mi podejść bliżej. Właśnie byłem zajęty odszukaniem spadłego z drzewa ptaka, gdy ujrzałem lisa, ciągnącego od strony wysokiego lasu bukowego. W odległości około 150 kroków lis się zatrzymał, siadł na tylnych łapach i zdawał się rozmyślać nad czemś. Wkrótce po tym pierwszym lisie ukazał się drugi, tym razem wspaniały okaz i zatrzymał się przy swoim towarzyszu, jakgdyby chciał mu coś zakomunikować. Zachowaniu się obu lisów przyglądałem się z wielkiem zajęciem i przy tej sposobności spostrzegłem ja-



Z łupem po obławie. (Fot. Saryusz-Wolski).

rząbka, który jeszcze żył i zamierającemi oczyma patrzał na swoich prześladowców. Lisy prosto, jak po sznurze, pędziły ku jarząbkowi, zbliżały się zatem do mnie, z czego korzystając, zrobiłem szybko dubletę i oba trafiłem nieźle. Ponieważ jednak pierwszy z postrzelonych lisów zaczął kuleć i uciekać dalej, przeto wystrzeliłem raz jeszcze, celując prosto w głowę. W tej samej chwili dostrzegłem na tej samej gałęzi co poprzednio również drugiego jarząbka, który pomimo mojego zbliżania się ani ruszał się z miejsca i tylko, jakgdyby skamieniały z przerażenia, wlepił wzrok swój w leżącego u stóp moich wielkiego lisa. Bez najmniejszego trudu skierowałem lufę na jarząbka, który swoją ciekawość przypłacił śmiercią i zwalił się z gałęzi tuż obok swojego śmiertelnego wroga.

Kiedyśmy o zmroku wracali do domu z obfitym łupem, dojrzeliśmy coś takiego, co wstrętne sprawiało wrażenie. Wielki, tym razem więcej szary, niż brunatny lis leżał w błocie i konał, nie z postrzału, ale ze starości, a na jego głowie siedziała sroka i wydziobywała mu oczy, on zaś bronił się rozpaczliwie, ostatnim wysiłkiem poruszając głową. Dwie inne sroki czekały tylko na to, ażeby stary lis wydał ostatnie tchnienie. Nie wytrzymałem, strzeliłem i dobiłem zdychającego lisa, wobec czego sroki odleciały, a nasz stangret zabrał ten łup niespodziewany na naszą bryczkę.

— Może pana nudzą te opowiadania? — zwrócił się do mnie gospodarz domu.

— Ależ broń Boże! — zawołałem — zbyt zapalonym jestem myśliwym, ażeby mnie każdy szczegół nie miał żywo zajmować.

— W takim razie opowiem panu kilka innych jeszcze przygód moich z lisami.

(Dok. nastąpi). *Gustaw Buseck-Busecki.*

KRONIKA SPORTOWA.

Z torów i hodowli.

☐ Wystaw koni w Król. Polskiem było w r. z. 33 z udziałem 2,775 koni. Nagród rozdano na 20,590 rb.

☐ Sumy rozegrane na trzech torach: warszawskim, petersburskim i moskiewskim dosięgły w r. z. w ogólnym obrachunku dwuch miljonów rubli. Stosunkowo bardzo niewiele przypadło z tej sumy stajniom polskim. Pierwsze wśród nich miejsce a siódme na liście ogólnej zajmuje stajnia pp. Jurjewicza i A. hr. Wielopolskiego—38,759 rubli, następnie p. M. Bersona—30,869 rb. dalej: Sp. warsz. — 21,043 rb., W. ks. Lubomirskiego — — 18,845 rb.; E. i S. Białobłockich — 10,138 rb., K. Zarzyckiego — 6,805 rb. S. Wotowskiego—6,035 rb. i t. d. W przeciwieństwie pp.: E. i M. Łazarewowie wygrali 350,878 rb., L. Mantaszew 248,158 rb., J. Mantaszew 96,395 rb.

Lotnictwo.

☐ Lotnik alzacki, Ingold, pobił ostatni rekord lotniczy Langnera, utrzymując się w powietrzu bez przerwy 16 godzin i 20 minut. Przebyta przestrzeń: 1,700 kilometrów.

☐ Ostatnie rekordy wysokości, ustanowione przez różnych lotników, przedstawiają się jak następuje: bez pasażera Legagneux 6150 m., z 1 pasażerem Perryon 4960, z 2 Illner 5011, z 3 Sablating 2800, z 4 tenże 2080, z 5 tenże 1015, z 6 François 850. Rekord szybkości ustanowił bez pasażera Prévost, osiągnąwszy 203 klm. 850 m. w ciągu godziny.

☐ Paryska Akademja sportowa udzieliła nagrody 10,000 franków lotnikowi Pegoud za jego karkołomne sztuki w powietrzu.

☐ Lotnik francuski, Bonnier, ukończył swą podróż napowietrzną z Paryża do Aleksandrji.

☐ Znany lotnik Diebs, spadł w Salisbury ze znacznej wysokości i zabił się na miejscu.

☐ Lotnik Reybaun spadł z wysokości 30 metrów na dach jednego z domów i poniósł śmierć.

Kolarstwo.

☐ Na paryskim torze Buffalo, szwajcar Oskar Egg ustanowił rekordy kolarskie, osiągnąwszy w godzinę 43,280 kilom., w pół godziny 21,425 kilm. Francuz zaś Godivier osiągnął 100 kilom. w 2 g. 29 m. 47 sek.

Narciarstwo.

☐ Pierwszą nagrodę w skoku zdobył w zawodach narciarskich Tatrz. Tow. Narciarzy w Zakopanem p. J. Jarzyna, osiągając 15 m.

Auto.

☐ Projektowana przez „Society of Motor Manufacturers and Traders Ltd.", międzynarodowa wystawa automobilowa i łodzi motorowych, zamiast w listopadzie r. z. odbędzie się w budynku londyńskiej „Olympji" od 6 do 25 marca r. b.

Łowiectwo.

☐ W gub. Płockiej na terenach dóbr Łążyn p. Zielińskiego i Zembowo ks. Puzyny odbyło się próbne parogodzinne polowanie, na którem zabito 65 zajęcy i 5 sztuk różnej zwierzyny.

☐ W Międzyrzeczu pod Siedlcami, majątku sukcesorów Andrzeja hr. Potockiego w 14 strzelb zabito 11 dzików, 43 rogacze, 8 lisów, 5 cietrzewi i 1 jarząbka.

☐ W Ostromęczewie, pow. brzeskim, u Włodzimierza ks. Puzyny odbyło się polowanie, na którem w 9 strzelb zabito 142 zające, 60 bażantów, 4 lisy i 1 puhacza.

☐ W pow. sieradzkim na terenach majątków: Bąki, Lichowa i Wola Łobudzka odbyło się polowanie, na którem w 10 strzelb zabito 120 zajęcy i 5 kuropatw.

☐ W dob. Janowskich na Podolu, u Andrzeja hr. Chołoniewskiego polowano 1 dzień w 5 strzelb i zabito 48 zajęcy, 2 kozły i 2 lisy. Do dzików nie strzelano.

☐ W Szpetalu Górnym, gub. płockiej u p. Zdzisława Rutkowskiego odbyło się polowanie, na którem w 13 strzelb zabito 535 zajęcy, 15 kuropatw, 7 bażantów i 2 kozły.

☐ We Mstyczowie, g. kieleckiej u p. Bolesława Kuglera zabito na polowaniu 4 kozły, 83 zające, 4 króliki, 2 bażanty i 21 kuropatw.

☐ W m. Nowy Dwór pod Skierniewicami odbyło się u p. Stefana Okęckiego polowanie w 12 strzelb, na którem padło 228 zajęcy, 10 kuropatw i 1 jastrząb.

☐ W Walewicach, m. pp. Stanisławostwa Grabińskich odbyły się polowania, na których zabito 246 zajęcy, 11 kozłów, 1 lisa i 15 kuropatw.

☐ W Bielicach, gub. warszawskiej odbyło się u Pawła ks. Woronieckiego polowanie w 10 strzelb, na którem zabito 284 zajęcy, 11 kuropatw i 7 bażantów.

☐ W m. Jasień, gub. płockiej odbyło się u p. H. Wąsowicza polowanie, na którem zabito 2 rogacze, 1 lisa, 69 zajęcy i 17 kuropatw.

☐ Odbyło się w m. Poryck, g. wołyńskiej, u Stanisława hr. Czackiego, polowanie w 8 strzelb, na którem zabito 234 zajęcy, 54 rogaczy, 14 lisów, 35 dzików i 5 różnych.

☐ W m. Ostrosiec, g. wołyńskiej u Augusta hr. Ledóchowskiego odbyło się polowanie w 8 strzelb, na którem zabito 244 zajęcy, 2 rogacze, 9 lisów i 18 dzików.

☐ W m. Koniuchy, g. wołyńskiej u Tadeusza hr. Czackiego na polowaniu w 8 strzelb zabito 96 zajęcy, 1 kuropatwę, 4 lisy i 5 różnych.

☐ Odbyło się doroczne polowanie w Strzegocinie pod Kutnem u p. Bolesława Góreckiego. W 13 strzelb zabito 571 zajęcy, 1 lisa, 1 bażanta i 39 kuropatw.

Treść zeszytu IV-go.

Warunki prenumeraty dwutygodnika „WIEŚ i DWÓR" łącznie z dodatkami „Sport i Hodowla":

W Warszawie z odnoszeniem do domu:
rocznie rb. 10.— półrocznie rb. 5.— kwart. rb. 2.50

W Królestwie i Cesarstwie z przes. pocztową:
rocznie rb. 12.— półrocznie rb. 6.— kwart. rb. 3.—

Za granicą i za oceanem z przes. pocztową:
rocznie rb. 14.— półrocznie rb. 7.— kwart. rb. 3.50

Cena pojedyńczego zeszytu **60** kop., z przesyłką i na stacjach kolejowych **75** kop.

Prenumeratę na „Wieś i Dwór" przyjmują urzędy pocztowe, wszystkie księgarnie, biura dzienników w kraju i zagranicą i Redakcja „Wsi i Dworu", Marszałkowska 129, w Warszawie. Telefon 217-41.

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem:		W tekście między działami:		Po tekście:	
1 strona	rb. 120	1 strona	rb. 150	1 strona	rb. 100
1/2 strony	„ 65	1/2 strony	„ 80	1/2 strony	„ 55
1/4 „	„ 35	1/4 „	„ 45	1/4 „	„ 30
1/8 „	„ 20	1/8 „	„ 25	1/8 „	„ 16
1/16 „	„ 10	1/16 „	„ 15	1/16 „	„ 8

Okładka zewnętrzna tylko w całości 200 rb. Ogłoszenia na specjalnych miejscach o 25% drożej.

Wszelką korespondencję zarówno zwykłą, jak rekomendowaną lub pieniężną należy adresować:
Redakcja „WIEŚ i DWÓR" ul. Marszałkowska 129 w Warszawie.

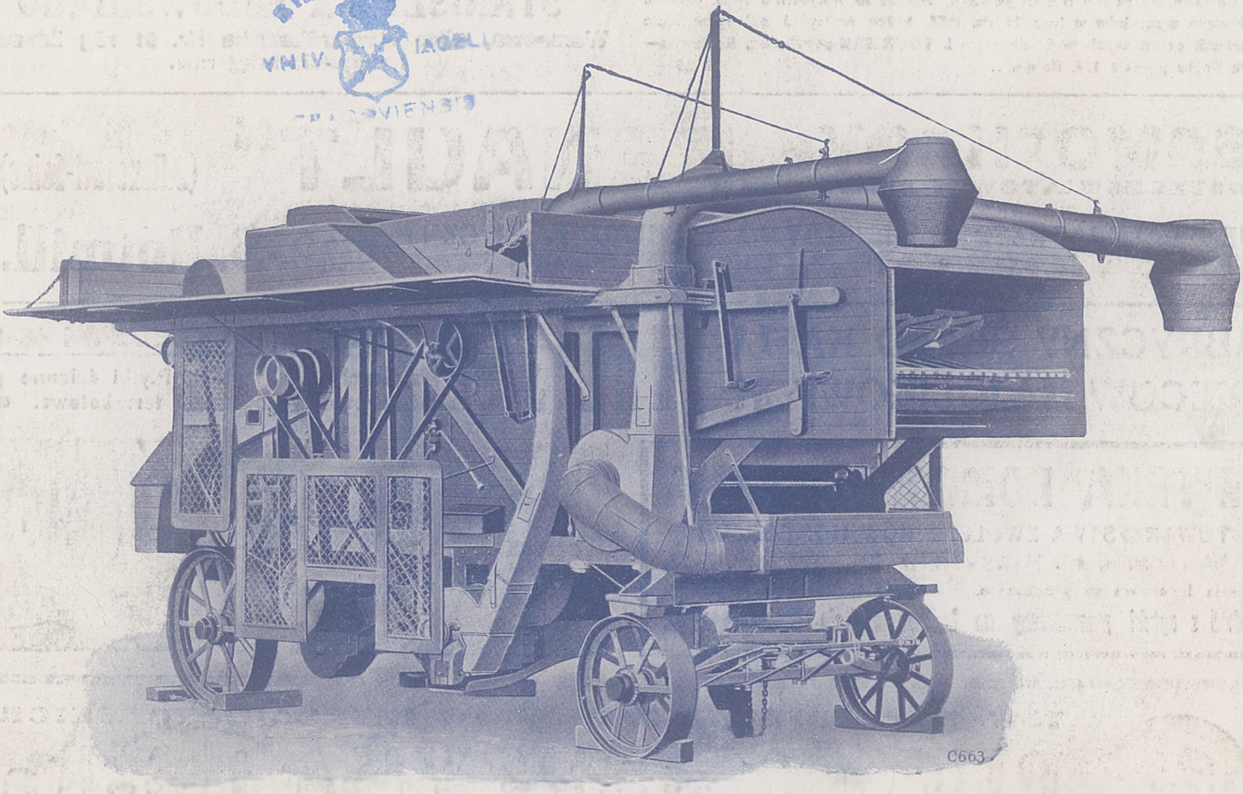
Redaktor: **Wacław Rogowicz.** Współredaktor: **Walenty Zieliński.**
Wydawcy: **Zakł. Graf. A. Hurkiewicz i S-ka.**

Papier kredowy z firmy LEWINSOHN i SCHAUB w Petersburgu.

Zakł. Graf. A. HURKIEWICZ i S-ka. Warszawa, Marjensztadt 16.

HENRYK **LANZ** WARSZAWA

BRACKA 16, TELEFON BIURA 278-00,
ZARZĄDU 306-30.



Najnowsza młocarnia parowa

MŁOCARNIE PAROWE
PATENTOWANE PRASY-SAMOWIĄZAŁKI
LOKOMOBILE
BUKOWNIKI ELEWATORY

Wrazie potrzeby wysyłam inżynierów specjalistów i wykwalifikowanych monterów do wszelkich porad technicznych.

SZCZEGÓŁOWE OFERTY NA ŻĄDANIE ODWROTNĄ POCZTĄ.

Zakłady Graficzne A. Hurkiewicz i S-ka, Warszawa, Marjensztadt